

KS. K. SCHMIDT.

ANTOŚ SIEROTA

POWIASTKA LUDOWA.

Antoś Sierota

KS. K. SCHMIDT.

Antoś Sierota

POWIASTKA LUDOWA.

1913

Spis rzeczy.

ROZDZIAŁ I.

Pieśń o Narodzeniu Pańskiem.

Było to pod wieczór we wigilię Bożego Narodzenia, gdy biedny Antoś, śliczny ośmioletni chłopczyna, szedł przez okolicę, zasypaną śniegiem. Nieboraczek miał na główce czarny letni kapelusik, z pod którego spadały mu pukle jasnych, teraz szronem okrytych włosów, a policzki jego rumieniły się od zimna. Ubrany był z żołnierska w mundurek granatowy, przypominający krój ułański. W prawej ręce miał gruby kij szakłakowy, a na plecach niósł tłómoczek, zawierający całe jego mienie. Pomimo wszystkiego był jednakże wesoły, a serce jego radowało się na widok okolicy, białym śniegiem okrytej, i na widok nade drogą stojących krzów i zarośli, na których wisiały całe pęki szronu.

Tymczasem czerwona kula słoneczna spuszczała się ku zachodowi. W pro-

mieniach zachodzącego słońca błyszczały teraz oszroniałe źdźbła i gałązki, jakby obsypane ognistemi iskrami, a wierzchołki poblizkiego lasu świerkowego zdawały się płonąć w złocistym ogniu.

Antoś spodziewał się, że jeszcze przed zapadnięciem nocy dojdzie do wioski położonej z drugiej strony lasu, przeto bez wahania wszedł na drogę prowadzącą przez gęsty i ciemny las. Tam w tej wsi obiecywał on sobie dobre przyjęcie na Święta Bożego Narodzenia, gdyż mu powiadano, iż tamtejsi mieszkańcy są zamożni i gościnni ludzie.

Niestety! po kwadransie pochodu zeszedł z głównego toru i zabłąkał się w najdzikszą okolicę gęstego, górzystego lasu. Prawie ustawicznie musiał brnąć w głębokim śniegu, a niejednokrotnie byłby się zapadł w parowy i doły, ukryte pod pokrywą śniegową. Noc już też zapadła, a z nią razem zerwał się przejmujący, zimny wiatr. Chmury pokryły niebo i zasłoniły gwiazdki, które dotąd można było widzieć pomiędzy gałęziami świerków. Ciemność powstała straszna, a na

domiar złego począł na nowo gęsty śnieg padać.

Biedny chłopczyna, straciwszy wszelki ślad drogi, nie wiedział, w którą się miał udać stronę. Strudzony długiem błąkaniem się, nie zdołał już iść dalej. Musiał więc przystanąć, i drżący od zimna począł płakać rzewliwie. Złożywszy na śniegu tłumoczek, ukląkł, a wzniósłszy skostniałe rączęta ku niebu, począł się modlić ze łkaniem:

— Ach, Ojcze niebieski! nie dozwól mi marnie zginąć w tym lesie, wśród nocy i mrozu. Ty wiesz, żem ja biedny sierota, bez ojca i matki. Tyś mi jedyny pozostał, boś Ty ojcem wszystkich sierot. O, nie daj mi zmarznąć!... Zmiłuj się nademną, biednym chłopcem!... Wszakżeż to dziś pamiątka nocy, w której Twój syn jednorodzony na świat przyszedł. Dla tej pamiątki nie opuszczaj mnie! O! nie pozwól mi umierać właśnie tej nocy, w której cały świat cieszy się z narodzenia boskiego Dzieciątka!

Po tych słowach zbolałą głowę złożył na tłómoczku, łkając i płacząc rzewliwie.

Wtem nagle, niby niebiańska muzyka,

zabrzmiał na uboczu prześliczny śpiew i rozległ się pomiędzy skałami. Chłopcu zdawało się w tej chwili, że to anieli śpiewają. Powstał, natężył słuch i złożył ręce. Wiatr już ustał, cisza zapanowała i wśród tej ciszy w lesie, rozlegał się ów śpiew z niewypowiedzianą uroczystością po głuchej puszczy.

Wyraźnie słyszał te słowa:

"Niepojęte dary dla nas daje
Dzisiaj z nieba Ojciec łaskawy,
Gdy się wieczne Słowo Ciałem staje
Mocą Swojej cudownej sprawy;

Nędzę świata precz odmiata,
A płaczliwe jęczenia
W dzięków głosy pod niebiosy
I w wesele zamienia;

Stąd dziś wszyscy weseli
Wyśpiewują Anieli:
"Niechaj chwała Bogu będzie w niebie,
A na ziemi pokój ludowi!"

Śpiew ucichł, tylko echo jeszcze daleko niosło rzewne tony nuty, aż i ono prze-

brzmiało gdzieś w oddali. Antosiowi zrobiło się dziwnie błogo na sercu.

— Ach!—rzekł sam do siebie — tak błogo musiało też być pasterzom betlejemskim na sercu, gdy w owej świętej nocy ten śpiew niebiański usłyszeli. Precz więc ze smutkiem! Bezwątpienia mieszkają w pobliżu dobrzy ludzie, którzy mnie nie opuszczą, gdyż według mego mniemania tacy ludzie którzy śpiewają jak anieli, też muszą być tak dobrzy i przyjacielscy, jak anieli.

To rzekłszy, podniósł tłómoczek i zaczął się piąć pod górę, i to w stronę, skąd go ów miły śpiew doszedł.

Ledwie kilka kroków przebił się przez zarośla, gdy naraz błyszczący promień światła uderzył jego oko. Światło to jednakże zaraz nagle zagasło... znowu zajaśniało... znowu zagasło... i tak naprzemian dalej.

Antoś ucieszony, szedł śmiało w tym kierunku i niebawem ujrzał samotnie w lesie stojący domek. Zbliżywszy się do wchodowych drzwi, zapukał raz, drugi i trzeci, ale nikt go do wnętrza nie po-

prosił, lubo z izby dochodziło go kilka wesołych głosów.

Spróbował teraz, czy mu nie uda się drzwi otworzyć; były one tylko na drewnianą klamkę zamknięte. Otworzywszy je, wszedł do ciemnej sieni, a chcąc poszukać drzwi do izby prowadzących, długo macał po ścianach. Wreszcie namacawszy, otworzył.

Ale osłupiały stanął w progu, bo przy blasku kilku świec przedstawiło się oczom jego coś, czego nigdy jeszcze w życiu nie widział. Zdawało mu się, że wszedł do raju... a może nawet do samego nieba!...

A cóż zobaczył?

W izbie, pomiędzy oknami jednej i drugiej ściany, w samym kącie, przedstawiał się krajobraz wiosny, całkowicie z natury zdjęty, lubo tylko oczywiście zmniejszony. Wyobrażoną była górzysta okolica z omszałemi skałami, porosła lasem zielonych świerków, pełna chat wieśniaczych i trzód pasących się owiec wraz z pilnującymi ich pasterzami. Wysoko na górze widne było miasteczko. W środku zaś w rozpadlinie skały, urządzoną była szopka. Tam było Dzieciątko Jezus

Najświętsza Marya Panna, siwizną okryty święty Józef, pasterze pokłon oddający i aniołowie śpiewający:"Chwała Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludowi!" Cały zaś krajobraz lśnił się maleńkiemi gwiazdkami, podobnie jak się lśnią liście i mchy na drzewach, gdy zawieszone na nich krople rosy błyszczą w promieniach wschodzącego słońca.

Mieszkańcy domu zebrani byli przy szopce, przedstawiającej narodzenie Dzieciątka Jezus. Po jednej stronie siedział ojciec poważny z lutnią, po drugiej matka z najmłodszem dziecięciem na łonie. Pomiędzy nimi stało dwoje nadobnych dzieci, chłopczyk i dziewczę, które z pobożnością wpatrywały się w żłobek Zbawiciela i, naśladując klęczących pasterzy, składały rączki.

Teraz ojciec uderzył w struny lutni; matka zaczęła śpiewać dźwięcznym swym głosem pieśń, której zwrotkę już Antoś słyszał, dzieci dołączyły swe delikatne, srebrne głosiki, a ojciec, przygrywając na lutni, wtórował im przyjemnie słyszącym się basem.

Śpiewali:

PIEŚŃ.

Niepojęte dary dla nas daje
  Dzisiaj z nieba Ojciec łaskawy,
Gdy się wieczne Słowo Ciałem staje
  Mocą Swojej cudownej sprawy;

Nędzę świata precz odmiata,
  A płaczliwe jęczenia
Dzwięków głosy pod niebiosy
  I wesele zamienia;
    Stąd dziś wszyscy weseli
    Wyśpiewują Anieli:
Niechaj chwała Bogu będzie w niebie,
A na ziemi pokój ludowi!

Patryarchów świętych upragnione
  Spełniło się oczekiwanie,
Kiedy słowo z Panny narodzone
  Dopełniło wszystkich żądanie!

Gwiazda nowa, Jakóbowa,
  Wypuściła promienie;
Ciemne błędy gasząc wszędy,
  Światła czyni zjawienie.
    Stąd dziś każdy z Anioły
    Wyśpiewuje wesoły:
Niechaj chwała Bogu będzie w niebie,
A na ziemi pokój ludowi!

Już prorockich przepowiedzeń skutki,
  Odmieniły cały świat mile,
Oddalając uprzykrzone smutki,
  Przywróciły wesołe chwile.

Wszędy echo brzmi z pociechą,
  Że z daru Zbawiciela,
Upewnienie o zbawienie
  Dopełniło wesela.
    Więc z niebieskimi szyki
    Wydajmy dziś okrzyki:
Niechaj Chwała Bogu będzie w niebie,
A na ziemi pokój ludowi!

Niebo dzisiaj z ziemią połączone
  Wyśpiewuje wdzięczności pienie,

Dzięki Bogu czyni nieskończone
Za zjawione ludziom zbawienie.

Radość nasza z Mesyasza
I wszystkiemu stworzeniu,
Że Pan chwały, śmierci strzały
Skruszył w Swem Narodzeniu,
Brzmijże świecie wesoło,
Wydaj odgłos w około:
Niechaj Chwała Bogu będzie w niebie,
A na ziemi pokój ludowi:

Aby człowiek Bogiem był nazwany,
Jego postać Bóstwo przybrało;
By nie brząkał w niewoli kajdany,
Słowo Ojca Ciałem się stało.

Sługa z pana, ach, odmiana,
Niesłychane przykłady!
By z wdzięczności, dla miłości
Człowiek w Boga szedł ślady.
Więc niech pienia odgłosy
Idą aż pod niebiosy:
Niechaj chwała Bogu będzie w niebie,
A na ziemi pokój ludowi!

Uczynione z Twej miłości związki
Bóstwa twego z naszym rodzajem,
Sprawiły nam ścisłe obowiązki,
Byś miłowan od nas był wzajem.

Dajże, Panie, me kochanie,
By ogniste pożary
W sercach trwały na wiek stały,
Byś był kochan bez miary.
Nuż i teraz z miłości
Wyśpiewujmy z radości:
Niechaj Chwała Bogu będzie w niebie,
A na ziemi pokój ludowi!

"Niepojęte dary dla nas daje
Dzisiaj z nieba Ojciec łaskawy,
Gdy się wieczne Słowo Ciałem staje
Mocą Swojej cudownej sprawy;

Nędzę świata precz odmiata,
A płaczliwe jęczenia
Dzwięków głosy pod niebiosy

I w wesele zamienia;
Stąd dziś wszyscy weseli
Wyśpiewują Anieli:
"Niechaj chwała Bogu będzie w niebie,
A na ziemi pokój ludowi!"

Antoś stał dotąd jeszcze w otwartych drzwiach, trzymając w jednej ręce klamkę, w drugiej kapelusz i laskę. Mając wlepione oczy w szopkę, z otwartem usty słuchał tak pieśni, jak brzęku lutni.

Dotąd go jeszcze nikt nie spostrzegł. Po odśpiewaniu pieśni, poczuła dopiero gospodyni domu zimny przewiew, ciągnący ode drzwi, stojących otworem.

Spojrzała w tę stronę.

— Boże kochany!—zawołała z politowaniem—jak się mogło to dziecko dobić aż dotąd przez las, wśród takiej ciemności?... Biedny chłopczyku, nieboraczku, tyś zapewne zabłądził?...

—Zabłądziłem, zabłądziłem!—potwierdził płaczliwie Antoś—chciałem iść za las do wsi, ale zbłądziłem w lesie...

A już też teraz wszyscy zwrócili swe oczy ku drzwiom. Dzieci mianowicie serdecznie litowały się nad zbłąkanym chłopcem, lecz nie śmiały się do niego zbliżyć, ponieważ był im obcym. Matka

tymczasem, powstawszy, zbliżyła się z dzieckiem na ręku aż do Antosia.

— Coś ty za jeden, chłopczyno? — zapytała łagodnie — jak ci na imię, gdzie mieszkają twoi rodzice?

Antoś zalał się łzami.

— O, Boże dobrotliwy! — zawołał — ja już nie mam rodziców!... Imię mi Antoś, a ojciec mój zginął na wojnie, matka zaś ostatniej jesieni z głodu i żałości po ojcu umarła!... Jako sierota idę w świat szukać dobrych ludzi i błądzę po świecie jak zaginiona owieczka, ale...

Łzy przerwały mu opowiadanie, ale potem uspokoił się i opowiedział, jak zabłądziwszy w lesie, usłyszał śpiew, a kierując się według słyszanej pieśni, doszedł aż dotąd.

Chciał jeszcze mówić coś więcej, lecz nie mógł, bo mróz ubezwładnił jego język. Właśnie bowiem w ciepłej izbie zaczęło go trząść zimno tak straszliwie, aż szczekotał zębami.

— Ach, biedny Antosiu — rzekła z politowaniem matka — ty tak przemarzłeś, że nawet mówić nie możesz. Złóż tłomo-

czek i siadaj; zagrzeję ci trochę polewki i dam zjeść, co zbyło z wieczerzy.

Zdjęte litością oboje dzieci, obstąpiły Antosia.

Dziewczynka Kasia zdjęła mu tłómoczek i położyła na ławce, a chłopczyk Józio kapelusz i kij ustawił w kącie, i następnie posadziły małego gościa do stołu. Matka podała chłopcu polewki, kawałek placka i gotowanych śliwek, a siadłszy z drugiej strony stołu, uśmiechała się, widząc jak Antosiowi wszystko smakowało. Dzieci obdarzyły go sowicie podarkami, które dostały na gwiazdkę. Dawały mu to piękne czerwone jabłka, to złotawe gruszki, to włoskie orzechy. Nawet maleńka Marynia, siedząca na łonie matki, darowała mu purpurowe jabłuszko, tak wielkie, że go swymi paluszkami objąć nie mogła.

Ciepła strawa, oraz ciepło izdebne, wnet skostniałemu Antosiowi przywróciły władzę członków. Ożywił się i rozweselił. Już w czasie jedzenia ustawicznie strzelał oczyma na szopkę, a teraz wykrzyknął:

— Ach! jakżeście to ślicznie tam oto w kącie ustroili!... Toć to wiosna w sa-

mym środku zimy!... Jak żyję, nic piękniejszego nie widziałem. Muszę się zblizka przypatrzeć!

Po tych słowach poskoczył ku szopce, a dzieci za nim.

— Wiesz ty aby, co to wszystko przedstawia? — zapytała Kasia.

— Oczywiście, że wiem! — odparł Antoś. — To przedstawia narodzenie Dzieciątka Jezus. Ach! jakie też śliczne dzieciąteczko!... a jakie piękne ma oczki... i jak się mile uśmiecha!...

— Ależ to przecież nie jest prawdziwe dzieciątko Jezus! — pouczyła go Kasia. — Pan Jezus już nie jest dziecięciem, a już dawno temu, kiedy wstąpił do nieba.

— O tem i ja wiem bardzo dobrze — odrzekł jej Antoś. — Cóżto, czy ty myślisz, żem ja poganin jaki? Już temu będzie niezadługo lat dwa tysiące, kiedy Pan Jezus jako dziecię leżał w żłóbku, a to tu tylko zrobione dla nas dzieci, abyśmy sobie lepiej owo zdarzenie przedstawić mogli... Tam górą jest mojem zdaniem miasteczko Betlejem, nieprawda?

Kasia potwierdziła skinieniem głowy.

— Aha! widzisz! — zawołał teraz Antoś — poznajesz, że wiem wszystko, więc i nie jestem taki ciemny, jak myślałaś.

Dzieci rozśmiały się i poczęły Antosiowi zwracać uwagę na rozmaite drobnostki w ich oczach za bardzo ważne rzeczy uchodzące.

— Antosiu! — mówiła Kasia — przypatrzno się tej pięknej białej owieczce z kędzierzawą wełną, i tym dwom śliczniutkim obok jagniątkom! A tu oto pasie się cała gromada... a tam stoi owczarz i gra na kobzie... Tam w tej oto czerwonej budce na kółkach mieszka i ma noclegi.

— Nie uważasz — szczebiotał znowu Józio — jak to tam z owej skały wytryska źródełko i niby srebrna nitka spływa do błyszczącego jeziora. A owóż dwa białe łabędzie z pięknie wygiętemi szyjami pływają po jeziorze i odbijają się w spokojnej, srebrzystej wodzie.

— A tam — przerwała Kasia — schodzi pasterka ze stromej góry i niesie nakryty koszyk. Zapewne ma w nim albo

jabłka, albo jaja, które złoży w ofierze przy żłóbku.

— Patrz tylko — wtrącił Józio—tam ktoś pcha z parowu pod górę taczki z pełnym na nich miechem. Ale coby było w miechu, tego nie wiem.

Tak bawiły się dzieci bardzo przyjemnie, a ich baczności nie uszedł ani najmniejszy pstrokaty do skały przylepiony ślimaczek, ani jaskrawo malowana muszelka, leżąca nad brzegiem jeziora.

W końcu odezwał się Antoś.

— Bardzo to wszystko piękne, rzekł— ale najpiękniejszem ze wszystkiego jest wyobrażenie niebieskiego Dzieciątka! Z niego najwięcej się cieszę. Dla tego Dzieciątka bowiem, które tu wyobrażone, Ojciec niebieski wyratował mnie z wielkiego niebezpieczeństwa.

ROZDZIAŁ II.

Przygody Antosia.

Gospodarz domu, w którym Antosia jak dobrze przyjęto, był leśniczym. Podczas kiedy dzieci tak wesoło ze sobą roz-

mawiały, on, siadłszy w krześle z poręczami przy kominie, zatopił się w myślach. Żona jego siadła z dzieckiem przy nim i po niejakim czasie zapytała:

— Czemuż stałeś się tak milczącym?... I nad czem tak rozmyślasz?

— Rozmyślam nad wyrazami, kończącymi każdą strofę naszej co dopiero odśpiewanej pieśni — odpowiedział leśniczy. — Podoba mi się, żeś tego biednego chłopca nakarmiła i rozgrzała. Sądzę jednakże, że moglibyśmy dlań zrobić jeszcze co więcej... Dziś jest Wigilia Bożego Narodzenia i obchodzimy pamiątkę owej świętej nocy, w której Boskie Dziecię na świat przyszło. A właśnie dzisiaj przysyła nam Bóg dziecko, któremu możemy się stać zbawcami. Zbawiciel przyszedł na świat, jak do obcych, nie mając, gdzieby skłonił głowę, niby jakby chciał doświadczyć gościnności ludzkiej. Mieszkańcy betlejemscy nie wytrzymali próby i zaraz z początku wygnali Go do stajni pomiędzy bydlęta. Mamyż i my wygnać tego oto tam chłopca? Powiedz mi, moja żono, twoje zdanie w tym wzglę-

dzie, jak ci sumienie dyktuje: cóż nam uczynić wypada?

— Chłopcem się zająć?! — odrzekła żona natychmiast ucieszona.—Ten, którego pamiątkę Narodzenia dziś obchodzimy, powiedział: "Zaprawdę, powiadam wam, coście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili." Mnie się zdaje, że Antoś jest dobrym i miłym chłopcem i szlachetnego charakteru. Wygląda na pobożnego i niewinnego, a chociaż żebrze, nie jest ani natrętnym, ani zuchwałym. Zapewne jest to dziecko szlachetnych rodziców. Wymowa jego jest dźwięczna, a choć mundurek na nim wyszarzały, to jednakże widać, że z dobrej pochodzi materyi. Zresztą gdzie się naje pięciu, naje się i szósty. Zatrzymajmy więc chłopca.

— Dobra i ludzka z ciebie niewiasta— rzeki na to leśniczy, ściskając jej rękę. Bóg też nagrodzi i tobie i dzieciom naszym to, co dla owej obcej uczynisz sieroty. Wprzód muszę jednakże chłopca wybadać, czy on też będzie godnym naszego dobrodziejstwa... Antosiu! — za-

wołał na chłopca głośno — pójdź no tu do mnie!

Antoś natychmiast przybiegł i stanął przed leśniczym wyprostowany.

— Twój ojciec — zaczął mówić leśniczy — poległ za ojczyznę. Smutne to wprawdzie dla ciebie, ale pięknie i chwalebnie dla niego. Opowiedz nam też teraz coś więcej o twych rodzicach. Gdzieżeście dawniej mieszkali? Gdzie poległ twój ojciec? Kiedy umarła twoja matka? Jakim sposobem dostałeś się aż do naszego lasu? Opowiedz to.

— Mego ojca, Panie świeć jego duszy— zaczął Antoś opowiadać — nazywano w pułku wachmistrzem. Pułk ten stał daleko stąd nad granicą. Matka zaś szyciem wiele zarabiała. Raz przybiegł ojciec szybko do domu zawołał: wojna! jutro wyruszamy w pole!

Ojciec był odważnym, przeto wyruszenie w pole wcale go nie straszyło. Matka zaś przeraziła się wielce i gorzko płakała. Nie chciała go puścić samego, bo rozstanie się z nim było jej za przykre. Po wielu prośbach przystał wreszcie ojciec na to, żeśmy mu mogli towarzyszyć.

Szliśmy więc daleko!... daleko!...

Naraz gruchnęła wieść, że nieprzyjaciel nadciąga. Mój ojciec z ułanami musiał wyruszyć naprzeciw, a matka i ja pozostaliśmy w tyle. Wtedy trwoga nas przejęła na odgłos gęstych wystrzałów.

— Ach! — mówiła matka do mnie — każdy wystrzał, niby ostry sztylet, uderza w moje serce, nie mogę bowiem wiedzieć, czy wystrzelona kula nie przeszyje serca twego ojca!

Przez cały czas jak strzelanie trwało, płakaliśmy i modliliśmy się. Jednakże ojciec szczęśliwie powrócił, nawet nie zadraśnięty.

Tak samo poszło i kilka razy. Pewnego dnia po bitwie przybył ułan z koniem mego ojca do wsi i doniósł, że ojciec ciężko ranny, że leży o pół mili drogi na placu boju i że zapewne umrze. Matka i ja pobiegliśmy natychmiast do niego. Zastaliśmy go leżącego pod drzewem. Stary żołnierz, klęcząc obok niego, trzymał go lekko w objęciach, tak, że ojciec mógł złożyć głowę na piersiach poczciwego wojaka. Prócz tego stało jeszcze obok dwóch innych żołnierzy. Ojciec mój nie-

szczęśliwy miał pierś przestrzeloną i wyglądał tak blady, jak konający.

Poznaliśmy po nim, że chciał jeszcze coś mówić, jednakże był już za słabym. Wtedy swemi gasnącemi oczyma powiódł boleśnie po mnie i po matce, a następnie zwrócił je ku niebu.

Za kilka chwil już nie żył!....

Matka i ja o mało nie wypłakaliśmy sobie oczu. Zwłoki pochowaliśmy na cmentarzu poblizkiego kościoła. Kilku z panów oficerów i wielu żołnierzy odprowadziło ojca na miejsce wiecznego spoczynku. Och! jak smutnie brzmiała mi pogrzebowa muzyka w uszach!... dziś ją jeszcze słyszę... Aby oddać ostatnią cześć poległemu, wystrzelili żołnierze nad grobem. Lecz to oddanie ostatniej czci matkę i mnie tak wzruszyło, jak gdyby na nas strzelano... Wielu z żołnierzy otarło łzę, płynącą z oka, matka zaś i ja rozpływaliśmy się we łzach.

Matka chciała teraz wrócić w strony rodzinne.

— Nie mam tam wprawdzie żadnych krewnych — mówiła do mnie, lecz mam przyjaciółkę. Ta nas bezwątpie-

nia przyjmie do siebie, a z pracy rąk moich mam nadzieję wyżywienia mnie i ciebie.

Niestety! po kilku dniach podróży matka zachorowała. Z trudnością dostaliśmy się do jakiejś małej, odludnej osady. Ale nas nigdzie przyjąć nie chciano. Wreszcie znaleźliśmy schronienie w stodole.

— Przykry los nas spotkał — rzekła moja matka — ale i Najświętsza Panna Marya nie miała lepiej. Jej także nigdzie nie przyjęto i zanocować musiała w stajence.

Tymczasem matce coraz gorzej się robiło. Poprosiła o księdza i zaczęła się na śmierć sposobić. Z zapadnięciem nocy przyszła wieśniaczka, do której owa stodoła należała, i przyniosła na glinianej miseczce nieco polewki.

— Jak widzę — rzekła do matki — jesteście bardzo chorą, muszę więc też coś uczynić z mej strony.

To rzekłszy, odeszła, a po chwili przyniosła starą stajenną latarnię, w której żgliło się światełko olejnej lampki, i zawiesiła na belce. To było wszystko, co

ze swej strony uczyniła. Z życzeniem dobrej nocy dla nas odeszła i więcej się o nas nie troszczyła.

Pozostałem sam przy matce. Siedząc tak przy niej, płakałem gorzkiemi łzami. O ile mogłem zauważyć przy mdłem świetle latarni, już około północy matka stawała się coraz bledszą. Westchnęła ciężko kilka razy, a ja płakałem coraz rzewliwiej.

Podała mi rękę.

— Nie płacz — rzekła — kochany Antosiu! Pozostań pobożnym i dobrym, módł się zawsze szczerze, miej Boga w sercu, nie czyń nic złego, a Bóg ci da nowego ojca i nową matkę!

— Ale, Boże litościwy! — wykrzyknął Antoś z płaczem, przerywając sobie w opowiadaniu — tak dobrej matki już nigdy nie dostanę...

Kiedy te słowa wymówiła — ciągnął Antoś dalej w opowiadaniu — wzniosła oczy ku niebu, modliła się długo po cichu, a potem przeżegnawszy mnie stygnącą ręką, oddała Bogu ducha...

Oj płakałem... płakałem...

Tak wieśniak jak i jego żona przyrzekli

wprawdzie mej umierającej matce, że mnie wezmą do siebie i będą się mną opiekowali, jak własnem dzieckiem. Prawda, wzięli oni też po matce całą spuściznę, to jest ubiór i nieco pieniędzy, ale w niespełna trzy tygodnie wygnali mnie, mówiąc, że im trzy razy więcej zjadłem, aniżeli spuścizna po mej matce była warta. Poszedłem w zamiarze dostania się w strony rodzinne, ale wieśniacy nie umieli mi prawdziwej wskazać drogi. Stąd błąkam się po rozmaitych stronach i żyję z tego, co mi kto poda... bo jakąż inną mam sobie dać radę?

Opowiadanie to wzruszyło żonę leśniczego do głębi serca i łzy stanęły jej w oczach.

— Widzicie — rzekła do swych dzieci — i wam takby pójść mogło. I wy mogłybyście utracić ojca i matkę, a cobyście potem poczęły? Proście więc Boga codziennie, aby wam zachował przy życiu waszych rodziców.

Leśniczy zwrócił się znowu do chłopca.

— Jak uważam — rzekł — miałeś bardzo zacnych rodziców, kochany Antosiu.

Ale nie masz czasem jakich piśmiennych dowodów?

— A owszem — odrzekł chłopiec i dobył z tłómoczka pugilares. — Te papiery — mówił dalej — wręczyła mi moja matka na śmiertelnem łożu. Zaleciła mi, abym ich pilnie strzegł i nie wypuszczał z ręki. Wam jednakże mogę je pokazać.

Znajdowało się tam świadectwo zawartego małżeństwa jego rodziców, jego własna metryka i sepultura ojca, wystawiona przez kalepana wojskowego. Na niej dopisał jeszcze pułkownik własnoręcznie chlubne świadectwo dla nieboszczyka, wspominając o jego waleczności i szlachetności charakteru, oraz poświadczenie nieskazitelności obyczajów pozostałej wdowy.

— A więc — odezwał się teraz leśniczy — wszystko w najlepszym porządku... Teraz powiedz mi, Antosiu, jak ci się u nas podoba?

— Bardzo dobrze! — odrzekł zapytany z zapałem — tak dobrze, że mi się zdaje, jakobym był w domu.

— Chciałbyś u nas pozostać? — pytał dalej leśniczy.

— O, nigdzie chętniej na całym świecie! — była odpowiedź Antosia. — Wasza żona jest tak samo uprzejma, jak moja matka, wy zaś jesteście także poczciwym i macie takie same wąsy, jak nosił mój ojciec.

Leśniczy się roześmiał i pokręcił wąsa.

— A więc chłopcze — rzekł — pozostaniesz u nas. Ja ci będę ojcem, a moja żona będzie ci matką. Staraj się też być dobrym synem, kochaj twoje nowe rodzeństwo i nie czyń im nic złego. Słyszysz!... odtąd jesteś moim synem, Antosiu!

Chłopiec stanął jak wryty i zwrócił pytająco oczy na leśniczego, jakby chciał zbadać, czy on czasem nie żartuje. Zwyczajnym on był, że go ludzie od siebie odpychali, więc trudno mu było uwierzyć, aby go leśniczy miał przyjąć za syna.

— No jakże, Antosiu — zawołał leśniczy, wyciągając do niego prawicę — czy nie podasz mi ręki?

Teraz Antoś, zalawszy się łzami, podał

rękę leśniczemu, ucałował ręce leśniczowej, powitał radośnie dzieci, jako swe nowe rodzeństwo, nie wyjmując nawet małej Maryni, pomimo, że ta nie wiedziała, o co chodzi. O jak się ucieszyli Józio i Kasia, że Antoś u nich pozostanie!

— To to będzie uciecha! — wykrzyknął Józio — teraz przynajmniej będzie nas troje do zabawy.

Leśniczy jednakże odezwał się z powagą:

— Widzisz, chłopcze — rzekł — jak to Bóg o tobie pamięta i jak błogosławieństwo dobrych rodziców się spełniło. Bóg wysłuchał modlitwy umierającej matki, wysłuchał także ciebie, gdyś drżący od zimna klęczał w lesie na śniegu. On twoje kroki tu do nas skierował. On cię przywiódł do naszego domu. Gdybyś nie był dosłyszał naszego śpiewu, byłbyś zasnął na tłómoczku i byłbyś zmarzł a jabym cię znalazł jutro w lesie nieżywego. Bóg wiedział, kiedy ci przyjść w pomoc. On cię przywiódł do nas właśnie podczas świętej nocy, w której serca nasze przepełnione są miłością ku Ojcu niebieskiemu, który dla naszego od-

kupienia zesłał nam Syna jednorodzonego i przyprowadził cię do naszego odludnego mieszkania, dokąd byłbyś nawet za dnia nie znalazł drogi. Że masz teraz schronienie, winieneś wdzięczność Bogu i Jego Synowi najmilszemu, który dla ciebie, biednego chłopca, przed bez mała dwoma tysiącami lat na świat się narodził i za ciebie umarł na krzyżu. Uznaj to więc, nie zapominaj o tem przez ciąg całego żywota, a serce twe niech pała zawsze wdzięcznością ku Bogu i twemu Zbawicielowi. Przez całe życie miej Boga w sercu i żyj po chrześcijańsku.

Antoś przyrzekł to ze załzawionemi oczyma.

— O, dobry Boże! — zawołał, wznosząc oczy ku niebu — Tyś spełnił ostatnie słowa mojej umierającej matki, dając mi ojca i matkę. I ja z mej strony wypełnię sumiennie ostatnie jej słowa, chowając przykazania boskie, a mianowicie czwarte, względem moich nowych rodziców.

— Doskonale! — pochwalił leśniczy — dotrzymaj słowa, a będzie ci się dobrze powodziło.

Niedługo potem wskazała leśniczowa

chłopcu małą komóreczkę, w której znajdowało się świeżo powleczone posłanie, i niebawem wszyscy udali się na spoczynek.

Nazajutrz z rana zgromadziły się dzieci bezzwłocznie obok szopki z wyobrażeniem Dzieciątka Jezus, położonego w żłóbku. Szopka owa była tak przez uroczystość Bożego Narodzenia, jak i w następne Święta niewyczerpanem źródłem uciechy. Tymczasem o mało co cała uciecha świąteczna byłaby została skwaszoną. Niejakiś pan Filip, młodzieniec roztrzepany, lecz zagorzały myśliwy, który często leśniczego odwiedzał, wszedł razu pewnego do izby. Począł on na widok szopki prawić niedorzeczności i wyśmiewać uszczypliwie sposób, w jaki daje się dzieciom wyobrażenie Dzieciątka Jezus położonego w żłobie, nie mogąc pojąć, na coby się to przydać mogło.

— Na co? — zawołał leśniczy. — Spojrzyj pan tylko oknem, cóż ujrzysz?... Oto ziemia pokryta śniegiem, a drzewa trzeszczą pod jego ciężarem. Nie widać kwiatka, chyba lodowe na zamarzłych szybach. Na drzewach owocowych, oka-

lających moje mieszkanie, nie widać ani jabłka, ani gruszki, ani zielonego listka; gałęzie i gałązki bieleją zdaleka okryte całkowicie szronem, a z dachu zwieszają się sople lodowe. Biedne dzieci siedzą tu uwięzione w izbie i ledwo mogą kroku postąpić przed drzwi sienne. Cóżby miało być w tem takiego złego, jeśli kochający rodzice swym dziatkom wśród ostrej zimy w ciepłej izbie stworzą niejako wiosnę? Zaprawdę, ów krajobraz wiosenny ze zielonymi lasami, kwiecistemi łąkami, pasącemi się owcami ich pasterzami, wyłączną jest prawie uciechą dzieci w porze zimowej.

— Lecz to jest jeszcze najmniejszą rzeczą — ciągnął dalej leśniczy — główna rzecz polega na czem innem. My, chrześcijanie, cieszymy się w czasie Świąt Bożego Narodzenia, że Chrystus Pan z miłości Boga ku ludziom przyszedł na świat w postaci człowieka. Wypada nam więc, aby i dzieci nasze, o ile do tego umysłowo zdolne, miały udział w radości. Wiem wprawdzie, że najsłynniejsi malarze starali się na płótno przenieść ową świętą chwilę, będącą od wieków podziwieniem

świata. Będąc w podróży, sam nawet kilkakrotnie podziwiałem w Dreźnie ów słynny obraz Dzieciątka Jezus złożonego w żłobie, "Świętą Nocą" zwany. Ale jednak zarzuty, które Pan czynisz memu wprawdzie niedoskonałemu przedstawieniu żłóbka z Dziecięciem Jezus, możnaby tak samo zastosować do owego słynnego obrazu, pominąwszy oczywiście wartość artystycznego wykonania. Zatem zarzuty pańskie nie zasługują nawet na odparcie. Zresztą takie kosztowne obrazy mogą mieć rylko wielcy panowie, dla dzieci one nie są. Założyłbym się, że moje dzieci nie zamieniłyby swej szopki na ów słynny obraz w Dreźnie [1]).

---

1) O tym obrazie wspomnieć tu na tem miejscu nie będzie od rzeczy. Nosi on tytuł: "Noc święta," po włosku "La santa notte di Corregio," i należy do tak zwanych pięciu cudów malarskich. Cuda te są: 1) Przemienienie Pańskie przez Rafaela; 2) Ś. Hieronim przez Dominika; 3) Wesele w Kanie Galilejskiej przez Pawła z Werony (Paolo Cagliari); 4) Św. Piotr przez Tycyana i 5) wspomniany przez Corregiego (czytaj Koredży'ego). Słynny ten malarz urodził się w roku 1494 w Corregio, a umarł 1534 w Modenie. Właściwie nazywał on się Allegro Antoni, lecz przybrał nazwisko od miejsca urodzenia.—Wszystkie utwory Corregiego odznaczają się wdziękiem, harmonią i poezyą; podobno tkliwe serce, prawie niewieścia natura były mu mistrzami. Skromny, nie rzuca się na większe utwory, dopiero obraz Rafaela, wyobrażający ś. Cecylię, popchnął go do malatur na większe rozmiary. Zobaczywszy wspomniany obraz, stanął Corregio osłupiały, lecz, policzywszy się ze swymi siłami, wykrzyknął: "Anch'io

— Zatem, panie Filipie, zostaw nas prostaczków, mieszkających tu w lesie, przy starodawnych zwyczajach ojców naszych. Przypominam sobie z własnych lat dziecięcych, że szopka zawsze mnie wprawiała w zachwycenie... i nie pozostała bez błogosławieństwa. Niechże i moim dzieciom sprawia uciechę i ściągnie na nich błogosławieństwo boskie.

---

son pittore (To i ja jestem malarzem)!" "Noc" jest dowodem, że miał słuszność

Obraz "La santa notte di Corregio," znajduje się w Dreźnie w zbiorze obrazów i to w galeryi polsko-saskiej. Przepyszny ten obraz wystawia nowonarodzonego Zbawiciela świata, złożonego na słomie w żłobie (korytku) stajenki. P. Marya obejmuje go rękami, klęcząc przy żłobie. Zbiegają się pastuszkowie, by oddać cześć boskiej dziecinie, a w górze unoszą się zastępy skrzydlatych Aniołów. Gwiazda, co weszła od wschodu i w głębokich ciemnościach świat cały pogrążony oświeciła, jest czarownym punktem obrazu i oko widza na siebie zwraca. Na lewo na pierwszym planie, brodaty pasterz, atletycznej postawy, rzuca z głowy kosmate nakrycie, w ręku trzyma sękaty kij pasterski wierny pies jego naprzód się wyrywa; młodszy pastuszek patrzy starszemu w twarz, oparłszy rękę na jego kolanie, a ze spojrzenia tego widać, że mu słów nie starczy na wyrażenie zachwytu, w jaki go wprawia cud co dopiero dokonany. Żona pasterza składa dwa gołąbki w ofierze; ledwie znieść może jasność od boskiego Dziecięcia bijącą i ręką zasłania sobie oczy. Aniołowie w górze, przejrzyste świetliste istoty, a jednak ciemne przy promieniach odwiecznego Boga-Dziecięcia, w kornym zapale głoszą hymn Nowonarodzonemu. Na tylnym planie widać Józefa, wyprowadzającego ze stajni osiołka, oraz mnóstwo co dopiero zbudzonych pasterzy.

Taki jest główny rzut oka na obraz Corregiego "Noc święta." Dodać należy, że mistrzowi zapłacono wówczas za to arcydzieło sztuki tylko 40 talarów, dziś nie sprzedanoby tego obrazu ani za czterdzieści tysięcy!...

Przypisek Wydawcy.

ROZDZIAŁ III.

Cnotliwa rodzina leśniczego.

Leśniczy, który biednego, osieroconego chłopca przyjął za swego syna, był człowiekiem bardzo uczciwym i prawym i, jak sam o siebie mawiał, jeszcze starej daty. Był on bardzo bogobojny, dla wszystkich nader uprzejmy, a w służbie książęcej niezmordowanej gorliwości i wypróbowanej wierności. Trzymał się ściśle pobożnych zwyczajów swego dziada, którego jeszcze był zaznał, i swych rodziców, którzy tak żyli i myśleli jak dziadek.

Pierwszą jego czynnością każdego poranku było odmówienie wspólne z żoną i dziećmi rannych pacierzy. Tak samo zakończono dzień wspólnie modlitwami wieczornemi.

— Czemuż — mawiał — nie mielibyśmy poczynać i kończyć dnia z myślą o Tym, który nas przez cały dzień utrzymuje przy życiu, zaopatruje w pokarm i napój i obdarza nas wszystkiem dobrem? Sądzę, że i dla aniołów widok taki musi

być rozczulający, gdy ojciec z matką w gronie swych dziatek klęczą przed Bogiem i, nie wyjmując nawet najmłodszego dziecięcia, składają ręce i ślą do nieba dziękczynną modlitwę. Wtedy Ojciec Niebieski już nie może odmówić im opatrznego spojrzenia i błogosławieństwa.

Podobnie nabożnie i uroczyście modlił się leśniczy z rodziną przed i po jedzeniu.

Pewnego razu, powracając z polowania, przyprowadził ze sobą pana Filipa, a że już obiad podawano, zaprosił go do stołu. Paniczyk zaraz zasiadł i bez modlitwy zabrał się do jedzenia.

Jednakże leśniczy, który, jak się sam wyrażał, nie zapominał nigdy języka w gębie, zgromił go surowo:

— Tfy! paniczu! — zawołał. — Tak też samo postępują sobie moje dziki w lesie; one także pożerają żołędzie, nie pytając, skąd im spadły.

Panicz, nieco zaambarasowany począł się tłómaczyć, że przecież modlitwa przed jedzeniem nie ma żadnego wielkiego znaczenia.

— Owszem — odrzekł leśniczy z przy-

ciskiem—każda czynność, która człowieka uszlachetnia, ma wielkie znaczenie. Pobożność zawsze się na coś dobrego przyda, gdy tymczasem nigdy nie słyszałem ani nie widziałem, aby bezbożność dobre rodziła owoce, owszem tylko smutne pociąga za sobą skutki. Więc pan pomódl się z nami, jak na chrześcijanina i rozsądnego człowieka przystało, bo więcej razy na polowąnie nie pójdziemy. Nie chcę nic mieć do czynienia z poganinem, ani nawet nie chcę z nim jadać przy jednym i tym samym stole... Ale—dodał po małej chwili namysłu—wiem, żeś pan nigdy nad tem się nie zastanawiał. Widziałeś może kilku roztrzepanych paniczków, którzy bez pomodlenia się siadali do stołu, i ty ich nierozważnie naśladujesz. Myślisz nawet, że przez to wyglądasz więcej z pańska! Zaręczam ci, że się mylisz, bo bezbożny nie wart szacunku choćby on był z Bóg wie jakiego stanu! Naśladuj więc, co jest godnego, a porzuć, co bezbożnego!

Na te słowa panicz powstał i począł z drugimi odmawiać modlitwę, lecz bynajmniej nie z pobożności, ale z obawy,

żeby się leśniczy nie rozgniewał i w następstwie nie zabronił mu polowania.

Największą rozkosz uczuwał zacny leśniczy, kiedy się znajdował w gronie własnej rodziny.

— Pocóż mam szukać zabawy poza domem — mawiał — kiedy mam jej dosyć w domu, a nawet lepszej i tańszej.

Więc po skończonej dziennej pracy wypił sobie dzbaneczek piwa, a w Niedzielę nawet kieliszek wina, a przytem rozmawiał z żoną o tem lub o owem, albo opowiadał dzieciom wesołe, a pouczające historyjki.

Kiedy się znajdował w szczególnie dobrym humorze, natenczas brał do ręki lutnię.

— Ta—mawiał—wystarczy nam w naszym ciemnym lesie za koncert i operę!

Kiedy jeszcze był młody, uczył się grać na dętych instrumentach, ale, że mu lekarze dla słabych piersi tego zakazali, więc nauczył się na lutni, bo był wielkim miłośnikiem muzyki.

Żona jego śpiewała piękne piosenki, których umiała niemało, a mąż jej wtórował na lutni. Nawet dzieci nauczyły się

ich wiekowi odpowiednich piosnek i wyśpiewywały niby leśne czyżyki.

Dzieci leśniczego odwiedzały szkołę w Jesionowie, najbliższej wiosce parafialnej. Skoro tylko minęły Święta Bożego Narodzenia i drogi w lesie o tyle się poprawiły, że można było już po nich chodzić, musieli też Józio z Kasią zacząć chodzić na naukę. Co to była za radość dla Antosia, kiedy on razem z nimi miał prawo iść do szkoły! Wnet też prześcignął wszystkich swych współuczniów, bo oprócz mrówczej pilności, miał i talent niepospolity.

Kiedy leśniczy, powróciwszy z polowania, zasiadł wieczorem przy ciepłym kominie w swem krześle z poręczami, natenczas musiały mu dzieci opowiadać, czego się w szkole nauczyły, i pokazać swe prace piśmienne. Najlepiej umiał zawsze Antoś, pismo jego wyglądało najpiękniej, a w czytaniu stał się niezadługo bardzo biegłym. Po wieczerzy musiały dzieci zwykle coś z książki przeczytać. Chociaż wszystkie czytały dobrze, to jednakże najchętniej słuchano Antosia.

— Ten czyta najnaturalniej—mawiała

żona leśniczego.—Gdybym wyraźnie nie widziała, że czyta z książki, tobym twierdziła, że on to co czyta, gdzieś słyszał, nauczył się na pamięć i teraz nam to opowiada.

Niedziela była dzieciom ze wszystkich dni tygodnia najmilsza, bo leśniczy nie wychodził na polowanie i dzieci mogły się cały dzień z nim bawić.

— Poświęcam—mawiał leśniczy—sześć dni w tygodniu służbie książęcej, pracuję gorliwie i niezmordowanie za to dzień siódmy poświęcam służbie potężniejszego Pana, bo ten dzień jest "dniem Pańskim." Przytem tak ja, jak i moi rębacze, potrzebujemy po sześciu dniach pracy wypoczynku dla nabrania nowych sił.

Z rana w niedzielę chodzili ojciec, matka i dzieci na nabożeństwo do kościoła w Jesionowie. Ach, co to była za uciecha dla dzieci, mianowicie wiosenną lub letnią porą! Droga bowiem, którą iść musieli, prowadziła przez nader malowniczą okolicę; to wiła się pomiędzy lesistemi wzgórzami, to łączkami w wązkich dolinach, otoczonych skałami, pełnych roz-

maitej krzewiny lub otoczonych niebotycznemi drzewami.

— Ach! — mówił nieraz Antoś — jak też to pięknie zieleni się wszystko w lesie przy blasku porankowego słońca!... To codzień tak pięknie, ale mnie się wydaje w dniu niedzielnym wszystko jeszcze piękniejszem. Zdaje mi się, że wtedy drzewa są zieleńsze, ptaszki śpiewają weselej, a reszta przyrody spoczywa w nabożnem milczeniu. Nie słychać ani łoskotu uderzeń siekierą, ani turkotu wozów, ani huku wystrzałów, tylko chyba przerwie tu spokój dzwon kościelny, wzywający na nabożeństwo. Las cały zdaje mi się być wielką świątynią pańską, gdyż w nim tak spokojnie, jak w kościele.

— Powiedz, że tak uroczyście, jak w kościele — poprawił leśniczy.—Las jest też świątynią pańską. Wszechmocny ustawił owe drzewa w około jako filary, a gałęzie związał u góry i pozarzucał jako łuki. Wszystko, począwszy od rozłożystych dębów nad naszemi głowami, aż do drobnego fiołka pod naszemi stopami, głosi nam Jego wszechmocność i dobroć... Możemy nawet powiedzieć, że cała ziemia

pod sklepieniem nieba jest świątynią jego chwały. W tej też Jego przepysznej świątyni powinniśmy mianowicie w niedzielę cześć Mu oddawać i podziwiać z pokorą wspaniałe Jego dzieła. W tej przepysznej świątyni, którą sam zbudował, możemy naocznie przekonać się o Jego niezmierzonej, niepojętej wielkości i potędze, lecz w świątyniach, chociaż zbudowanych ręką ludzką, Bóg objawia nam wiernym swą wolę i wyroki. Dla tego też Syn Boży przyszedł na świat, był naszym nauczycielem i ustanowił nam kapłanów. W krociach tysięcy świątyń i kościołów chrześciańskich dziś właśnie głoszą kapłani naukę Zbawiciela, a miliony ludzi słuchają jej w pokorze serca. Pamiętajcie więc, i wy moje dzieci, abyście Słowa Bożego słuchały nabożnie i zachowały je w sercach waszych.

W ten sposób zwykł był leśniczy z dziećmi rozmawiać idąc do kościoła. W powrocie zaś wypytywał je, co słyszały na kazaniu, a one powtarzały z radosnem współubieganiem, które z nich najlepiej spamiętało.

Mianowicie w czasie obiadu bywał w niedzielę leśniczy nad podziw wesoły.

— Rzadko w ciągu tygodnia mam szczęście razem z wami obiadować — mawiał — bo muszę spożywać zaraz w lesie, to, co mi przynosicie. Wprawdzie smakuje mi wszystko, dzięki Bogu, dobrze, lecz w niedzielę smakuje mi obiad bezporównania lepiej, nie dla tego, że matka przysposobi coś lepszego, lecz dla tego, że mogę obiad spożyć w waszem gronie.

Sam rozdawał dzieciom ich dział obiadowy i cieszył się serdecznie z ich apetytu.

— Jedźcie, dzieci, jedźcie — mawiał— a dziękujcie Bogu za jego dary!

Po obiedzie oprowadzał dzieci po lesie i uczył je poznawać rozmaite drzewa, krzewy i zioła, wychwalając ich piękność, lub wskazując na użyteczność.

— Widzicie — mówił — jak to Bóg i najmniejsze ziółko pięknie uformował i dla użytku ludzkiego przysposobił. Ów las to wielka księgą, a każdy listek jest kartką, z której wyczytać możecie, jak mądrym i dobrotliwym jest Bóg nasz.

Podczas pięknych wieczorów wiosennych i letnich zwykle zastawiała żona leśniczego wieczerzę pod wielką, przed domem rosnącą, lipą, pod którą stał stół z ławkami. Po wieczerzy odśpiewano jeszcze kilka rzewnych a budujących pieśni. Leśniczy wtórował wtedy na swej lutni śpiewowi, do którego wmięszały zaraz swe pienia ptaszęta, siedzące w około na drzewach.

Antoś czuł się bardzo szczęśliwym pomiędzy owymi cnotliwymi ludźmi, gdzie panowała tak prawdziwa pobożność, jako też i miłość, zgoda, pilność, porządek i zadowolenie ze swego stanu.

— Bóg widocznie wziął mnie w opiekę —mawiał do siebie—nie mógł mnie On bowiem do lepszych zaprowadzić ludzi, choćbym cały świat wzdłuż i wszerz przeszedł.

Pełen też za to wdzięczności, był pilnym i posłusznym swym przybranym rodzicom. Skoro tylko leśniczy wieczorem wrócił z lasu, natychmiast Antoś podawał mu szaraczkowy surdut z zielonymi wyłogami, którego leśniczy używał za domowe ubranie, i miał dla niego w po-

gotowiu wygodne trzewiki. Kiedy zaś żona leśniczego zajęta była kuchnią, nie potrzebowała Antosiowi dopiero rozkazywać, żeby jej przyniósł drewek; on nawet, odgadując życzenia swej opiekunki, biegł do ogródka po szczypiorek, pietruszkę lub inne warzywa, aby tylko jej zaoszczędzić trudu. Wogóle czego sobie niejednokrotnie życzyła, Antoś już spełnił bez poprzedniego nakazu.

Dobremu swemu opiekunowi stał się Antoś jednakże szczególniej użytecznym. Leśniczy bowiem sporządzał plany powierzonych mu obwodów leśnych i nadawał rysunkom farbami odpowiednie a piękne wejrzenia. W rogu karty każdego placu wypisywał wielkiemi literami nazwisko obwodu, a na oznaczenie rodzaju jego drzewa, malował to wieniec z jodłowych, to z dębowych gałązek.

Niedługo trwało, a Antoś już się nauczył i największe plany piękne i jak najdokładniej odrysowywać. Ozdoby zaś które sam wynalazł, były tak śliczne i tak stosownie umieszczone, że leśniczy nie mógł się wydziwić. Naprzykład namalował Antoś rozłożysty dąb z opartą nań tar-

czą, na której stało nazwisko obwodu leśnego, a przy dębie dzika szukającego żołędzi. Albo też widne było nazwisko części lasu, niby wykute w skale, umajonej jodłami, a dołem pod skałą spoczywał jeleń z rozsochatymi rogami.

Wogóle Antoś rysował i malował we wszystkich wolnych od pracy chwilach, jużto krajobrazy, jużto zwierzęta. Gdziekolwiek znalazł kawałek niezapisanego papieru, chociażby i kopertę od listu, zaraz na nim wyrysował to ptaszka, to kwiatek, to gałązkę. Nie mógł on ani chwili spędzić na próżnowaniu.

Za to też i leśniczy i jego żona kochali bardzo Antosia, kochali jak własne dziecko, ciesząc się, że ich własne dzieci, idąc za jego przykładem, stały się o wiele posłuszniejsze i pracowitsze, aniżeli dawniej.

ROZDZIAŁ IV.

Dalsze dzieje Antosia.

Pewnego razu posłał leśniczy Antosia z kilkoma bekasami do poblizkiego zamku książęcego. Zawiadowca zamkowy

miał bowiem właśnie u siebie gościa i potrzebował dziczyzny.

Droga wypadała Antosiowi obok wodospadu, lejącego i na pianę rozbijającego swe wody ze stromej skały, okolonej gęstym jarem. Tu ujrzał jakiegoś nieznajomego sobie pana, który zajmował się odrysowaniem wodospadu. Antoś poszedł ku niemu, stanął za jego plecami i przez jego ramiona przypatrywał się rysunkowi. Obraz, który zobaczył, tak go przejął uniesieniem, że nie mógł powstrzymać okrzyku:

— Ach! jak to pięknie! To się dopiero nazywa rysować!

Po tych słowach poprosił o pozwolenie obejrzenia rysunku.

Nieznajomy pozwolił.

— Mnie to się tak wydaje — zawołał Antoś, przypatrując się rysunkowi,—że obraz ten jest zwierciadłem, w którem się odbija wodospad wraz ze skałami i drzewami, lubo w zmniejszeniu. Jak to pięknie wytryska tu woda z rozpadliny skały, niby srebrzysta wstęga! A jak to tu dołem pomiędzy omszałemi skałami pryska piana!... a jak to cudnie, świeżo i zielono

wygląda ten mech na kamieniu, zdaje się, że mógłbym go skubać!... Jak to wspaniałe wznoszą owe jodły wierzchołki swe w górę!... Prócz tego pan tu namalowałeś jelenia, pijącego ze strumyka... Jakto lekko stoi ów jeleń na nogach! Odrazu poznać można, że zwierzę owo niby wiatr sadzić może przez niwy i jary... Jelenie, które ja rysuję, wyglądają tak, jakby się chciały lada chwilę obalić. Ach! nie umiem nadać im pozoru życia!

Malarzowi podobały się szczere pochwały, a jeszcze więcej jego zamiłowanie sztuki.

— Jak mi się wydaje — rzekł z uśmiechem — toś bezwątpienia także małym malarzem!

— Ach! — rzekł Antoś — dotąd zdawało mi się, że nie małym, ale wielkim jestem malarzem. Teraz poznaje jednakże, że wcale żadnym nie jestem malarzem.

— Radbym zobaczył twe rysunki — rzekł na to malarz — dlatego przy sposobności wkrótce przyjdę do ciebie, abyś mi je pokazał. Kto są twoi rodzice? Gdzie mieszkasz?

— Ach! — zawołał Antoś — jestem

biedny sierota!... Pan leśniczy Zieleniewski przyjął mnie za syna!

— Hm! — rzekł na to malarz — to zapewne jego krewny, może on twoim stryjem lub wujem!

— I to nie — odpowiedział chłopiec— jestem całkiem obcym. On jednakże i jego żona przyjęli mnie natychmiast w swój dom kiedy zdaleka ze świata do nich przybyłem, i zajmują się mną jak własnem dzieckiem.

— To wiele jak na nich, bardzo wiele— odezwał się zadziwiony malarz;—opowiedz mi jak to do tego przyszło.

Antoś opowiedział mu więc obszernie swe dotychczasowe dzieje. Malarz z uwagą wysłuchał wszystkiego, a w końcu rzekł:

— Jak widać, są to bardzo uczciwi i szlachetni ludzie, tak leśniczy, jak i jego żona. Pozdrów ich odemnie i oświadcz, że ich jutro odwiedzę, ażeby im w imię ludzkości złożyć podziękowanie za tę miłość, którą tobie okazali.

Malarz ów nazywał się Barwiński, przed kilku dniami, zaproszony do odnowienia niektórych starych obrazów.

Z tej okoliczności korzystając, zbierał rysunki z okolicy, która mu się bardzo podobała.

Nazajutrz ku wieczorowi przybył do leśniczego. Obaj mężowie, poznawszy wkrótce, że są jednakowego sposobu myślenia, zaprzyjaźnili się serdecznie.

Malarz życzył sobie obejrzeć rysunki Antosia, które żona leśniczego pod niebiosa wychwalała.

— Wierz mi pan — mówiła — są arcycudowne.

Antoś jednakże zapłonił się wstydem i ustąpił aż do drzwi.

— Ach, panie Barwiński — rzekł pokornie — zobaczysz pan, że one nic a nic nie znaczą!

Malarz pomimo tego zachęcał chłopca, żeby mu swą pracę pokazał, aż w końcu Antoś przyniósł swe obrazki. Pan Barwiński przejrzał je z uwagą, uśmiechając się tędy i owędy. Oczywiście, że jako artysta, byłby się mógł uśmiać z koślawców Antosia, jednakże do tego nie przyszło.

— Zaiste! — zawołał w końcu — w tym chłopcu tkwi talent malarski. Pro-

szę, panie Zieleniewski, powierz mi go, a zobaczysz, że doczekasz się z niego pociechy!

— Niechże i tak będzie! — zawołał Zieleniewski i podał rękę Barwińskiemu.— Oddawna już namyślałem się, czegoby tego chłopca dać wyuczyć. Jest on już w czternastym roku, a tyle umie, że szkoła w Jesionowie już dla niego za nizka. Na leśnika jest on za delikatny i za miłosierny, bo on więcej ma charakteru po dobrodusznej matce, aniżeli po walecznym ojcu. Skoro pan sądzisz, że będzie z niego dobry malarz, to owszem, weź go na naukę. Co pan żądasz za naukę?

— Za naukę? — odrzekł malarz — o tem ani mowy być nie może. Pan dałeś przykład jak się biednemi sierotami zajmować trzeba; wiesz też, że jak świeca świecę zapala, tak czyn szlachetny pociąga za sobą drugi. To rzecz naturalna. Nie myśl pan więc o zapłacie za czas nauki. Skoro uskromnię się na zamku, wtedy może Antoś ze mną pojechać do miasta, jeśli będzie miał ochotę, a ja wszelkich dołożę starań, aby go wydoskonalić na artystę.

Antoś, przytomny tej rozmowie, aż skoczył z radości. Jednakże, kiedy po kilku dniach zajechał malarz po niego w powozie, rozpłakał się serdecznie.

— Nie płacz, Antosiu — rzekł na to leśniczy — przecież to do miasta nie daleko. My więc często przybędziemy do ciebie, a i ty będziesz nas w niedzielę i święta odwiedzał... Tak jest — dodał leśniczy, zwracając się do pana Barwińskiego — wyraźnie to sobie zastrzegam, że Antosiowi wolno będzie nas niekiedy odwiedzić, a całe święta Bożego Narodzenia przepędzi u mnie. Na to powinieneś pan zezwolić.

— A czemu nie? — odrzekł malarz — przecież owszem, a nawet jeśli pan Zieleniewski i jego godna małżonka nic przeciw temu nie będą mieli, to i ja wpraszam się na gościa przy każdych odwiedzinach Antosia!

Z chęcią oczywiście na to przystano i na dowód szczerego serca uściśnięto sobie nawzajem dłonie.

Nastąpiły pożegnania, przy których Antoś serdecznie dziękował przybranym rodzicom za ich dobroć i opiekę, a oni

nawzajem napominali go, aby był swemu mistrzowi posłusznym i szanował go, jak ojca, bo to, co on dla niego czyni, pochodzi jedynie ze serca tchnącego ludzkością.

Po odebraniu błogosławieństwa od przybranych rodziców i po pożegnaniu z przybranem rodzeństwem, siadł Antoś do pojazdu i odjechał z malarzem.

Zacny malarz dotrzymał słowa pod każdym względem. Rozkoszą było dla niego kształcenie tak zdolnego ucznia. Często także przybywał z nim w odwiedziny do leśniczego i bawił nieraz po kilka dni a w tym czasie zdejmował krajobrazy z pięknej, leśnej a górzystej okolicy. Niemógł też się swego ucznia nachwalić.

— Pomiędzy nami powiedziawszy — rzekł raz do leśniczego—z naszego Antosia będzie kiedyś mistrz, któremu nie będę godzien rozwiązać rzemyka u trzewików.

Tak minęło lat kilka. Antoś tymczasem wyrósł na pięknego młodzieńca.

Gdy mistrz jego przybył pewnego razu na święta Bożego Narodzenia do leśniczego, pozostał po wieczerzy przy stole

dłużej, niż zwykle, tak, że i leśniczy i leśniczowa poznali, że malarz chce z nimi pomówić sam na sam. Zatem postarali się o to, że Antoś i drugie dzieci poszły na spoczynek, a wtenczas malarz mógł wypowiedzieć to, co mu leżało na sercu.

Chwilę trwało milczenie.

— Antoś — odezwał się wreszcie malarz — już u mnie nauczył się tyle, ile ja sam umiem. Wypada mu więc puścić się w świat i to wprawdzie do Włoch... Wprawdzie koszt to nie mały, ale się opłaci. Zaręczam, że kapitał tak dobrze ulokowany przynieście procenty wysokie, ą i sam kapitał z czasem się wróci. Koszt taki przenosi możność pojedyńczej osoby, ale rzecz rozważyłem sobie tak: Rozumie się samo przez się, że Antoś nie może się udawać w podróż wyłącznie na cudzy koszt, lecz sam musi coś zarobić. W każdym jednak razie będzie dla niego znaczna zapomoga konieczną, albowiem potrzebować będzie wiele wolnego czasu, aby się wyćwiczyć w sztuce. Co się mnie tyczy, dołożę z mej strony rzetelnie. Przykładem waszym zachęcony, postanowiłem Antosia bezpłatnie wykierować na dosko-

nałego malarza. Że za jego prace malarskie dobrze mi płacono, przeto owe pieniądze odkładałem, zachowując na przyszłość, a teraz przeznaczam je na podróż. Ale to na długo nie wystarcza! Pytam się więc, czybyście państwo nie zechcieli dołożyć, co braknie? Będzie to wprawdzie znaczna suma. Jednakże, jeźli się dobrze dzieło rozpocznie, to trzeba je też i kończyć!

Po tych słowach podał rękę leśniczemu, oczekując, czy tenże uderzy w nią na znak zgody.

Leśniczy cieszył się niezmiernie tak ze wzorowego prowadzenia się Antosia, jak i z jego postępów w sztuce. Posiadał on znaczny majątek, więc nie miał nic przeciw przeznaczeniu jakiej sumy, atoli, nie chcąc sam decydować bez żony, spojrzał na nią pytająco.

Żona skinieniem głowy dała znak zezwolenia.

— A więc zgoda! — zawołał leśniczy, uderzając w podaną dłoń — jeśli ta suma nie będzie przenosiła mego mienia, to wypłacę!

Zrobiono więc obrachunek kosztów po-

dróży i jednomyślnie postanowiono, że Antoś ma na pozimku wyjechać za granicę.

Nazajutrz z rana odjechał malarz z Antosiem saniami do miasta.

Leśniczostwo robili przez całą zimę przygotowania do wyprawy Antosia. Leśniczy kupił sukna, celem zaopatrzenia swego wychowańca w dostateczny zapas porządnego ubrania. Wyszukał też swój własny kuferek podróżny i kazał go w nową obić sarnią skórą.

Żona zaś leśniczego z dwiema córkami ustawicznie szyły, aby Antosia dobrze zaopatrzyć w bieliznę.

Z początkiem wiosny musiał Antoś zabawić kilka dni u swych opiekunów. Leśniczy dał jeszcze swemu wychowańcowi niektóre przestrogi i rady, jak na świecie należy rozumnie postępować. Był mu tak przychylny, że nawet sam zajął się ułożeniem rzeczy w kufereczku.

Antoś tylu względami był bardzo wzruszony, a to wzruszenie odbijało się w jego twarzy i rosło przy każdym nowym ubraniu, które żona leśniczego podawała mężowi do układania.

— Ach! zawołał — ile to dla mnie czynicie!.. Moi właśni rodzice, gdyby jeszcze żyli, nie mogliby więcej uczynić!

Kuferek wysłano zaraz naprzód pod adresem sławnego malarza, do którego pan Barwiński dał Antosiowi list polecający, Antoś bowiem chciał całą podróż odprawić pieszo. Józef, serdeczny jego przyjaciel, wystarał się dla niego o tłómoczek, zawierający rzeczy do codziennego użytku w podróży niezbędne.

Wreszcie nadszedł dzień pożegnania. Antoś postanowił sobie pójść po obiedzie do malarza Barwińskiego, a stamtąd puścić się w dalszą podróż. Żona leśniczego sporządziła wyborny obiad i wszyscy wspólnie stół obsiedli.

Była to rzewna uroczystość familijna. Leśniczy powiódł oczyma po zgromadzeniu, które smętnie milczało.

— Po cóż ten smutek, moi synowie i moje córki? — odezwał się leśniczy — i ty, dobra matko, otrzyj łzy twoje. To już tak zawsze bywa, że syn gdy dorośnie, musi iść w świat. Nawet i wy, moje córki, niebawem dojdziecie wieku, kiedy i wam przyjdzie dom opuścić. Lecz cho-

ciaż góry i doliny ciało nasze rozłączabędą, duchem jednakże będziemy przy sobie. A o ile pożegnanie nasze jest smutnem, to o tyle radość nasza będzie większa, skoro się znowu na tym lub tamtym świecie zobaczymy.

Zacny ów mąż niedługo dowcipnemi opowiadaniami zdołał przywrócić wesołość. Kazał nawet przynieść flaszkę wybornego wina, z którego tylko w najuroczystsze święta pijał. Nalał matce i córkom, ale te wzbraniały się przyjąć trunku.

— Wino rozwesela! — rzekł z uśmiechem.

Antoś i Józio nie dali się wcale prosić ale zaraz podali swe kieliszki do nalania.

Przy końcu obiadu uniósł leśniczy swój kieliszek w górę.

— Teraz, Antosiu!—rzekł—trąćmy się w kieliszki i pijmy na pomyślność w podróży i wesołe zobaczenie!

— Daj Boże! — zawołała matka, trąciła się z drugimi i upiła nieco.

Józef, Kasia i Marynia również trącili się. Wszyscy byli do łez wzruszeni, a naj-

więcej wzruszonym był Antoś. Teraz już nie mógł łez wstrzymać.

— O, moi najukochańsi rodzice! — zawołał — ileż wam winienem wdzięczności! Cóżby było się stało ze mną, gdyby was nie było? Ach! wieczność cała nie starczyłaby dla mnie na wywdzięczenie się za tyle dobrodziejstw! Oby Bóg wam to wynagrodził! Oby Bóg dał mi możność, żebym wam i waszym dzieciom za wszystkie dobrodziejstwa mógł jakim czynem okazać mą wdzięczność!

— W samej rzeczy, kochany Antosiu— odezwał się leśniczy—nie taję, żeśmy uczynili wiele dla ciebie, a kiedy spojrzę po twojem rodzeństwie, to prawie powiedziałbym, że za wiele. Co się tyczy mnie i mojej kochanej żony, to rzecz najmniejsza, potrzebujemy mało, a włos nasz bieleje. Dopóki żyć będziemy, chleba nam nie zabraknie. Jednakże, mój kochany Antosiu, jeśliby kiedy które z twego rodzeństwa miało się znajdować w potrzebie, to nie zapomnij, jakeśmy tobie przyszli z pomocą, i nie pozwól mu pozostawać w ucisku! Podaj mi rękę, Antosiu! Wszak-

że rodzeństwa twego nie opuścisz, nieprawdaż?

Antoś pochwycił wyciągniętą do siebie rękę.

— O, kochany ojcze! — wykrzyknął— toż ja musiałbym być najgorszym niewdzięcznikiem, gdybym miał kiedykolwiek zapomnieć o odebranych dobrodziejstwach. Największem szczęściem dla mnie byłoby, gdybym wam kochany ojcze, najlepsza matko, i kochane rodzeństwo mógł coś dobrego wyświadczyć!

— O tem jestem przekonany—rzekł— lecz czas ci już w drogę. A powstając, dodał: — zbliż się, synu, uklęknij i odbierz ojcowskie błogosławieństwo!

Antoś uklęknął. Leśniczy wzniósł swe oczy ku niebu; gdy tak stał, twarz jego nabrała wyrazu poważnego, uroczystego, a postać wydawała się, jakby jakiego patryarchy. Przeżegnawszy klęczącego młodzieńca, rzekł:

— Niech Bóg będzie z tobą we wszystkich twoich przedsięwzięciach, niech zachowa cię od grzechu i niech cię cnotliwego i czystego serca wróci w nasze objęcia!

— Amen! — domówiła matka z dziećmi, które stały kołem ze złożonemi pobożnie rękoma i zapłakanemi oczyma.

Leśniczy podniósł Antosia i ujął go w swe objęcia.

— Teraz — rzekł idź z Bogiem! Miej go zawsze w sercu i nigdy nie zapominaj, że Jego oko wszędzie cię widzi. Uważam ciebie za zanadto dobrego, abyś miał zejść z prawej drogi. Dobra i rozkosze tego świata nie są warte, abyśmy dla nich mieli skalać sumienie. Pomnij, żeśmy nie na ten krótki tylko czas pobytu naszego tu na ziemi stworzeni, lecz, że czeka nas wieczność. Unikaj nie tylko grzechu, lecz nawet sposobności do grzechu. Szczególniej unikaj ludzi, którzy się z pobożności i wiary naszych przodków natrząsają i wyszydzają czyste obyczaje... Więc jeszcze raz... bądź zdrów, niech cię Bóg prowadzi!

Żona leśniczego stała zalana łzami.

— Antosiu — rzekła — spojrzyj na moje zapłakane oczy i na łzą zroszone lica! Na te łzy zaklinam cię, pozostań bogoboj-

nym, dobrym i prawym. Kiedy cię pokusy do złego nagabywać będą, wtedy wspomnij na te łzy. Dotąd sprawiałeś nam tylko pociechę, nie zasmuć nas w przyszłości. Pomimo tego, że w tej chwili łzy wylewam, to jednakże serce moje nie jest bez pociechy, lecz gdybyśmy mieli co złego usłyszeć, o! wtedy wylewalibyśmy łzy gorzkie. W całem życiu nie zapominaj naszych rodzicielskich, serdecznych napomnień i napomnień ostatnich twojej w Bogu spoczywającej matki. A teraz żegnam cię, idź z Bogiem!

Cała rodzina odprowadziła do głębi serca wzruszonego i smutnego młodzieńca, prawie aż na koniec lasu. Tu się ostatecznie jeszcze raz pożegnali. Antoś poszedł... oni jeszcze stali i patrzyli za odchodzącym. Ten zaś co chwilę się oglądał i żegnał ich jeszcze wiewaniem kapelusza. Leśniczy i Józef także wiewali za nim kapeluszami, matka zaś z córkami powiewały białemi chusteczkami.

Wreszcie zniknął im z oczu, wszedłszy za zarosły drzewami pagórek.

ROZDZIAŁ V.

Podarek gwiazdkowy.

Od czasu, kiedy Antoś udał się w podróż, już po raz trzeci zawitał wieczór wigilii Bożego Narodzenia. Dziś leśniczy z Józefem rychlej powrócili z lasu. Na dworze było bardzo zimno. Niebo czerwone, niby łuna pożaru, widne było przez szyby, które poczęły już zamarzać i w czerwieni wieczornej iskrzyły się, jakby były zasiane dyamentami.

Leśniczy zasiadł przy piecu w swem krześle z poręczami. Dołożył drzewa do ognia, bo piec był tak urządzony, że mógł służyć i za kominek. Płomień buchnął raźno i to się wznosił, to opadał, rzucając kołyszącą się jasność na izbę, odbijał się na oknach, powiększają błyszczenie zamarzłych szyb.

— Niema listu od Antosia?—zapytał leśniczy.

— Nie, niema—odrzekła smutnie.

— To mnie dziwi—rzekł leśniczy, kiwając głową.—Zwykle na gwiazdkę był list od niego. Rozpisywał się obszernie,

a właśnie jego listy były moją najwyższą uciechą gwiazdkową. Cóż on robi, że nie pisze?

Ledwo leśniczy tych słów domówił drzwi zaskrzypiały i wszedł do izby z oszroniałymi włosami posłaniec. W ręku trzymał list, na plecach niósł pudło sosnowe, które było wprawdzie płaskie, ale dosyć szerokie, że ów posłaniec, musiał się nachylić, wszedłszy do izby.

— W tym pudle zapewne będzie zwierciadło — zauważyła Kasia.

Posłaniec wręczył list leśniczemu, a pudło zestawił na stół.

— Ten list jest od malarza, pana Barwińskiego — zawołał leśniczy — cóż to ma znaczyć? Obawiam się, aby biednemu Antosiowi nie przytrafiło się jakie nieszczęście.

Złamawszy pieczęć listu, przebiegł go oczyma skwapliwie przy świetle ognia palącego się na kominku.

— Słuchajcie tylko!—wykrzyknął radośnie leśniczy — Antoś przysyła nam aż ze Rzymu obraz w darze na gwiazdkę. Przesłał go on na wałku na ręce pana Barwińskiego, prosząc go, aby ten obraz

kazał oprawić w złote ramy i postarał się o to, aby nam w samą gwiazdkę był doręczony. Pan Barwiński pisze, że to jest arcydzieło sztuki. Walny chłopiec z tego Antosia... chciałbym go chętnie zaraz uściskać... Kasiu! — przerwał sobie, zwracając się do córki—nim podadzą jedzenie, przynieśno temu poczciwemu posłańcowi kieliszek wina. To mu wyjdzie na zdrowie, bo na dworze jest rzeczywiście mróz trzaskający.

Posłaniec przyjął wino z podziękowaniem, ale pozostania na wieczerzy odmówił, gdyż mając krewnych w Jesionowie, chciałby z nimi razem święcić Wigilią i pierwsze Święto.

— Niech i tak będzie — rzekł na to leśniczy, a udarowawszy go hojnie, pożegnał.

— A teraz—zawołał leśniczy—posiadajcie w koło mnie. W liście pana Barwińskiego znajduje się list od Antosia przeczytam wam go.

— Nie przynieść czasem świecy?—zapytała Marynia.

— Owszem—rzekł leśniczy—będzie mi wygodniej czytać. Ale się śpiesz!

Marynia przyniosła błyszczący mosiężny świecznik z zapaloną świecą. Wszyscy już posiadali kołem, ciekawi treści listu.

Leśniczy począł czyta:

"Najukochańsi, najlepsi rodzice i rodzeństwo!

Przesyłam wam w podarku na gwiazdkę obraz przezemnie z wielką pilnością wypracowany. Przedstawia on nowonarodzonego Zbawiciela położonego w żłobie. Wielu artystów zaręczyło mi, że obraz ten wcale mi się udał. Radbym, żeby on przynajmniej połowę sprawił nam tej uciechy, której ja doznałem na widok Dzieciątka Jezus w żłóbku, kiedym po raz pierwszy przestąpił progi waszego domu. Zaiste i wtedy mielibyście jeszcze nie małą radość!

— O! jak żałuję, że sam z owym obrazem do was pojechać nie mogę, aby wam go wręczyć osobiście! Wprawdzie prześliczna to tu kraina! Teraz, w miesiącu listopadzie, kiedy ten list piszę, już zapewne dawno u was zima, wasz dach, gałęzie sosen i dębów uginają się pod ciężarem śniegu. Tu zaś cytrynowe i pomarańczowe drzewa lśnią srebrzystem kwie-

ciem i złocistymi owocami. Pomimo tego wśród cudnej przyrody wzdycham za waszym wiejskim kominkiem, przy którym spędziłem najszczęśliwsze chwile mego życia.

Waszej łasce zawdzięczam, że się znajduję pod łagodnem niebem włoskiem, i że, jeśli tylko na tę nazwę zasługuję, zostałem artystą. Owo u was miłe przedstawienie żłóbka dla dzieci przeznaczone, jakkolwiek niedostateczne, obudziło we mnie po raz pierwszy zdolności we mnie tkwiące. pierwszy zdolności we mnie tkwiące. Ustawicznie mam je przed oczyma, a lubo widuję bez porównania wspanialsze arcydzieła sztuki, to jednak nie wzbudzają we mnie takiego uniesienia, jak owa szopka naówczas. Ach! błogie chwile wieku dziecięcego przechodzą wszystko! W tym czasie wszystko wam się wydaje jaśniejsze, piękniejsze, jakby w złotych promieniach wschodzącego słońca. Szkoda, że ten czas tak szybko przemija!

W chwili, kiedy ten list czytacie i obraz oglądacie, jam duchem pomiędzy wami. Z rozrzewnionem sercem przypominam sobie ów wieczór, kiedym na pół skost-

niały znalazł się pod waszym wiejskim dachem!... przypominam sobie, jak mnie dobra matka ciepłą strawą pokrzepiła, jak ojciec przyjął za syna, a Józio, Kasia i Marynia chętnie ze mną dzielili ich dary gwiazdkowe. O, najukochańszy ojcze, z wdzięcznością całuję twoje i mojej opiekunki dobroczynne ręce!

Ściskam moje rodzeństwo. Już naprzód cieszę się z tej chwili, kiedy po kilku latach nie będę potrzebował obcować z wami duchem, ale twarzą w twarz, i będę mógł ustnie wypowiedzieć, jak bardzo was kocham... Wasz wdzięczny, serdecznie kochający

Antoni.”

Rzym, 15. listopada 1829.

— To mi list!—zawołał leśniczy, ocierając sobie oczy.—Zaiste, cośmy łożyli na tego młodzieńca, to wszystko za mało. Wprawdzie spodziewałem się wiele po tym młodzieńcu, lecz on nadzieje moje prześcignął, bo nie mogłem przypuścić, abym takiej dożył z niego pociechy!... Ale owoż wieczerza czeka na nas; po wieczerzy zabierzemy się do obejrzenia obrazu.

— Nie, nie!—sprzeciwiali się wszyscy jednogłośnie—zaraz do tego się zabierzmy! Obraz nas więcej obchodzi, aniżeli jedzenie!

— Przyniosę jeszcze jednę świecę—zawołała Marynia—będzie nam jaśniej. Józef też już wracał z młotkiem i dłutem, a kiedy pudło otworzył i obraz wydobył, wszyscy zawołali z uniesieniem:

— Ach! jaki piękny! jaki śliczny! Co to za niebiańskie postacie! Jakie to niezrównane kolory!...

Obraz żłóbka Dzieciątka Jezus.

Leśniczy ustawił obraz na stoliku przy ścianie i postawił obok niego zapalone dwie świece woskowe. Teraz też wszystkich oczy zwróciły się na obraz. Żona leśniczego złożyła pobożnie ręce.

— Ach!—zaczęła podziwiać—nigdy jeszcze czegoś piękniejszego nie widziałam! Mnie się zdaje, że jestem przy prawdziwym żłobku Pana Jezusa!... Jak to miluchno i dobrotliwie uśmiecha się do nas Boskie Dzieciątko; tak się wydaje, jak gdyby przy swym wstępie na świat nas wszystkich powitać chciało... Ach z jaką

to czułością, z jaką miłością spogląda Najświętsza Marya Panna na cudowne Dziecię. Jedną ręką objąwszy Dzieciątko, drugą trzymając na bijącem sercu, klęczy przy żłóbku i zajęta cała niebiańskiem Dzieciąteczkiem zapomina, że się znajduje w nędznej stajence. A oto tam! z jaką to powagą stoi stary Józef i jak nabożnie, mając złożone ręce, zwraca oczy w niebiosa! A tym pasterzom poczciwość prawie z ócz wypatruje... A z jakiem uszanowaniem i pobożnością upadli na kolana. A owi niebiescy Aniołowie tam górą, jak są niezrównanie piękni, jak lekko się unoszą!... Z Dzieciątka zaś, jaki to blask bije i oświeca wszystko naokoło, przewyższając blask aniołów! Zaiste, ktoby się nie cieszył z Narodzenia Zbawiciela i ktoby z aniołami nie głosił chwały i potęgi Boga, ten chyba musiałby mieć kamienne serce!

Leśniczy dotąd w milczeniu stał z wlepionemi w obraz oczyma. Kiedy żona jego skończyła swe podziwianie i przestała mówić, on, jakby się ze snu ocknąwszy, rzekł poważnie:

— Masz racyę, moja żono! Mając

przed oczyma owo święte zdarzenie tak pięknie odmalowane i w błyszczących ramach, zupełnie innego, nowego doznajemy wrażenia na duszy naszej. Zobaczę czy nie będę umiał powiedzieć wam tego, co w tym obrazie widzę i jakiemi uczuciami serce moje przepełnione.

Po tych słowach przysunął krzesło, ustawił je w stosownej odległości, a siadłszy tak, aby mu się wszystko na obrazie wyraźnie przedstawiało, zaczął powiadać:

— Moje kochane dzieci, zwróćmy najpierw uwagę naszą na boskie Dzieciątko. Tymczasowo nie będziemy go uważali ze strony jego boskiego pochodzenia, lecz według jego człowieczeństwa. Oto tam leży na kilku źdźbłach siana i słomy nędzne, w ubogie pieluszki owinięte. Ale czuła matka wita je jednakże miłym uśmiechem i z postanowieniem, że je będzie troskliwie pielęgnowała. Wierny żywiciel obojga przypatruje im się ze współczuciem, gotów bronić matki i dziecięcia swem silnem ramieniem, a z pracy rąk swoich dostarczyć im wyżywienia. Dobry opiekun, czuła matka i dziecię, które, skoro przyjdzie do rozumu, starać

się będzie rodzicom miłością odpłacić za miłość: oto najpiękniejszy obraz na ziemi, z którego i sami Aniołowie cieszyć się powinni. To troje: opiekuna, matkę i Syna, Bóg cudownie połączył.

— O, moje dzieci, na widok owego Dziecięcia w żłóbku, tak sobie pomyślcie:

— I ja, będąc niemowlęciem, leżałem tak samo bezwładnie, gdzie mnie położono. Byłbym musiał zmarnieć, gdyby rodzice moi nie byli się mną troskliwie zajęli. Z radością i weselem powitano moje przyjście i już wszystko było na moje przyjęcie starannie przysposobione. Matka moja obwinęła mnie w pierwsze moje odzienie, to jest w pieluszki, które może sama uprzędła, utkała, wybieliła i uszyła. Odtąd dniem i nocą przemyśliwała tylko nad tem, żeby mi na niczem nie zbywało. Kiedym spał, czuwała przy mojej kolebce i niejedną noc spędziła bezsennie z miłości dla mnie!... Ojciec sumiennie jej w troskliwości dopomagał i pracował dla obu na utrzymanie!......

— Tak powinniście myśleć i dziękować Bogu, że wam dał dobrych rodziców! Bóg to bowiem z miłości do was wlał w serce

matki cząstkę swej niewysłowionej miłości, a sercu ojcowskiemu udzielił cząstkę swej własnej ojcowskiej pieczy, z jaką świat utrzymuje i rządzi. Lecz i wy bądźcie wdzięcznymi waszym rodzicom. Syn lub córka, którzyby mogli zapomnieć ile to matka dla nich wycierpiała, ile to ojciec dla nich się napracował, aby ich wyżywić, odziać, wychować, byliby istotnie wyzuci z wszelkiego uczucia ludzkiego.

— Teraz, moje dzieci, kiedyśmy się już świętej Rodzinie przypatrzyli, zwróćmy oczy nasze na aniołów, unoszących się pod niebiosami i spuśćmy je potem na bydło w stajence. Wtedy nam wyjaśni się godność i przeznaczenie człowieka... Nim jednakże o tem pomówimy, spojrzyjcie jeszcze raz w łagodne oblicze Najświętszej Maryi Panny, tak pełnej anielskiej czystości i niewysłowionej miłości macierzyńskiej!... Przypatrzcie się prócz tego stojącej postaci czcigodnego Józefa jak on to pełen natchnienia pobożnie wznosi oczy ku niebu!... A patrzcie tylko na owo Dziecię, jak to oblicze jego pełne

cudnego uśmiechu... jak to oczki jego pałają, niby gwiazdki na niebie!...

— Spojrzyjcie teraz na niezgrabne, kosmate łzy zwierzęce: wołu i osła. Jak one to zdają się przypatrywać wszystkiemu nieczule i bezrozumnie. Ich pyski naprzód wystające wskazują, że tylko są dla brania pokarmu, zresztą do niczego wyższego, lepszego. Nawet nie są zdolne do lubego uśmiechu!

— O, któż przy tem porównaniu nie zauważyłby, że człowiek jest wyższą istotą? Zaiste, człowiek też należy do stworzeń pierwszego rzędu. I najciemniejszy człowiek uczułby się poniżonym, gdyby mu powiedziano: tyś nie lepszy od wołu, twój pług ciągnącego; lub: tyś nie lepszy od osła, dźwigającego miechy do młyna; tyś nie lepszy od wołu i osła, które po śmierci zgniją i nic po nich nie pozostanie!...

— Nie, człowiek różni się od zwierząt, a podobny aniołom Boga, którzy swego Stwórcę uznają, cieszą się wobec Niego i Jego chwałę głoszą. Człowiek jest jedynem stworzeniem, które z przeświadczeniem to samo czynić może. Chociaż

człowiek ma ze zwierzętami wiele wspólnego, to jednakże jest podobny aniołom. Chociaż przychodzi na świat z płaczem i narzekaniem, chociaż wiele wycierpieć musi, nim znajdzie się w kwiecie wieku, chociaż krótko potem zwiędnie, jak polny kwiatek, umrze i pospołu ze zwierzętami w proch się obróci... to jednakże tylko dotyczy jego zewnętrznej powłoki, w proch się rozpadającej. W człowieku bowiem mieszka dusza nieśmiertelna, która jest aniołem, okrytym powłoką z ciała i kości, a skoro ta zewnętrzna powłoka upadnie ulatuje do nieba anioł... to jest, jeśli człowiek przeznaczeniu swemu na ziemi godnie odpowiedział i żył według woli Stwórcy.

— Bardzo trafnie umieścił malarz na obrazie baranka i koszyczek z owocami, które widzimy jako dary dla Nowonarodzonego złożone przy żłóbku. Człowiekowi bowiem Bóg zlecił panowanie nad wszystkiemi stworzeniami ziemskiemi. Człowiek też oswaja i najsilniejsze zwierzęta i zmusza je do służenia sobie; owca daje mu mleko i wełnę, a ziemia dostarcza najpiękniejszych owoców. Tylko mały

stopień różni człowieka od aniołów, gdyż Bóg obsypał go honorami i dostojeństwy, czyniąc go królem dzieł swoich, czyniąc wszystkie stworzenie podnóżkiem nóg jego.

— I miejsce, w którem widzimy Boskie Dziecię wraz z Matką i Opiekunem, twardym żłobem i nędzną stajenką, nie są bez znaczenia. Doprawdy, człowiek nie potrzebuje pałacu, żeby dopełnił przeznaczenia swego na ziemi, bo i w najnędzniejszej lepiance może żyć zadowolony i doczekać się szczęśliwej śmierci.

— Widzimy w stajence tylko biedę i nędzę. Pamiętać jednak należy, że człowiek aby był szczęśliwym na ziemi, aby był godnym szacunku i prawdziwego szlachectwa, nie potrzebuje koniecznie chodzić w aksamitach i jedwabiu, ani brząkać srebrem i złotem. Tu właśnie Bóg pokazał, że tylko cnota uszlachetnia, bo swego Jednorodzonego Syna nie umieścił w pałacach, lecz w nędznej stajence. Ale za to choć pomiędzy ubogimi, lecz najszlachetniejszymi ludźmi, jakimi byli święty Józef i Najświętsza Panna Marya.

Lepszych ludzi świat ani przedtem nie wydał, ani potem nie wyda...

— Moje dzieci, to wszystko, o czem dotąd mówiłem, jest wprawdzie pięknem i pocieszającem, lecz dotyczy jedynie ludzkiego zapatrywania się na owo zdarzenie. Najgłówniejszą jest pochodzenie Boskie i wysokie posłannictwo owego Bożego Dziecięcia. Jezus Chrystus, wcielony Syn Najwyższego, przyszedł tej nocy na świat, aby zbawić ludzi, którzy od Boga odpadli i przez grzech utracili prawo do królestwa niebieskiego. W Nim więc uwidomiła się boska miłość do ludzi, w Nim widzimy Boga w postaci człowieka. Wprawdzie urodził On się w największej nędzy, za kolebkę miał żłobek, na tym świecie nie miał nawet gdzieby głowę skłonił, a umarł niby zbrodniarz jaki, śmiercią krzyżową. Jednakże bez wszelkich ziemskich posiłków, bez bogactw, bez wojska, jedynie tylko mądrością, miłością i wszechmocnością Boską, zdołał świat cały odmienić, rodzaj ludzki oświecić, uszlachetnić i z mocy czarta wybawić. Tem ziścił swe Boskie posłannictwo... Na to właśnie, jak i na całe

zdarzenie, bardzo piękne mamy na obrazie wskazówki.

— Patrzcie naprzykład: noc wszędzie, gruba ciemność zalega okolicę, tylko jasność, która bije z Dziecięcia, rozlewa światło naokoło. Ma to znaczyć, że w czasie Narodzenia Jezusa Chrystusa, ciemność i niewiadomości pogaństwa zalegały ziemię. Przez Jezusa Chrystusa zaś na świat przyszła światłość, oświecająca każdego na ten świat przychodzącego człowieka. Ludzie popadli w grzechy i poniżenie, tak, że wielu z nich zrównało się z bydlętami, a nawet niektórzy stali się niższymi od bydląt. Dopiero Chrystus tych którzy prawdziwie w niego uwierzyli, wyniósł znowu do godności człowieka, uczynił świętymi, przemienił w aniołów w postaci ludzkiej.

O ile ludzie dawniej byli ciemnymi, o tyle też nędznymi. Jednakże patrzajmy, jakto już szczęśliwi są owi ludzie, którzy stoją przy żłobku i jak się cieszą z Narodzenia Pańskiego. Już na sam widok Nowonarodzonego Zbawiciela zapominają: Najśw. P. Marya, św. Józef i pasterze o wszelkich ziemskich dolegli-

wościach. Widzimy więc, że Syn Boży, który przyszedł na świat, aby ludziom nieść pokój i pociechę, już przy narodzeniu Swem rozpoczął posłannictwo. Przemówienie Anioła do pasterzy do dziś brzmi w sercach wszystkich ludzi:—Oto zwiastuję wam wielką radość, która będzie wszystkiemu ludowi, iż się nam narodził Zbawiciel, który jest Chrystus Pan!— I nie naprożno śpiewali aniołowie na niebie: "Chwała Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludowi!"

Do tego Pana stoi wstęp dla wszystkich ludzi zarówno wolnym. Objawił on się najprzód ubogim, prostaczym pasterzom; za matkę wybrał sobie ubożuchną N. Maryę Pannę, a za opiekuna biednego rzemieślnika, który w pocie czoła na kawałek chleba zarabiał. Już w żłobie pokazał nam, że wobec Niego nic nie znaczą bogactwa, dostojeństwa i mądrości ziemskie. On tylko gromadzi około siebie ludzi dobrej woli, jakimi byli Najświętsza Panna Marya, sprawiedliwy Józef i owi pełni bojaźni bożej i poczciwości pasterze.

Jednakże nie oddala On od siebie żad-

nego grzesznika, który żałuje i szczerze obiecuje poprawę. Tego dowodzi nam już samo Imię Boskiego Dzieciątka. Dlatego też przy zwiastowaniu oznajmił Anioł Najśw. Pannie Maryi rozkaz Boży, aby dała Dziecięciu imię Jezus; dlatego też powtórzył ten rozkaz Józefowi mówiąc: —nazwiesz Imię Jego Jezus, co znaczy Zbawiciel, albowiem On zbawi świat od grzechu.

Grzeszny ród ludzki miał się stać ludem Boga, ludem świętym! stąd też widzimy nad żłobkiem. Jezusa Pana otwarte niebo. On bowiem miał ludziom niebo otworzyć, na ziemi założyć królestwo niebieskie, a tem samem niebo połączyć ze ziemią. Z tego cieszą się aniołowie boscy, radują się i weselą, i chwalą Boga na wysokości, życząc ludziom szczęścia do zbawienia, zgotowanego im przez Jezusa Chrystusa.

Pomimo wielkich przeszkód, jakie pogaństwo i zatwardziałość w grzechach stawiała, jednakże Jezus Chrystus wypełnił wszystko to, co nam przy żłóbku było przepowiedziane... chociaż i wielu z Jego narodzenia i śmierci niestety nie skorzy-

stało.. Założył królestwo niebieskie na ziemi, i dzieło Jego ostało się. Nie jeden z mocarzy tego świata przez podboje utworzył wielkie królestwa. Lecz ci mocarze za kilka lat przeżyli swe dzieła, albo nawet sami za życia na to musieli, jak one się rozsypały w gruzy. Jedynie państwo Jezusa Chrystusa, to jest prawdziwe chrześciaństwo, rozszerzało się coraz więcej i rozszerza się aż do dnia dzisiejszego. Całe narody przyjmowały wiarę świętą, a królowie ozdabiali krzyżem Jego swe korony. Dawne pogańskie zwyczaje, okrucieństwa, ofiary z ludzi i inne, zniknęły na ziemi z krajów chrześcijańskich, a natomiast wzniosło się mnóstwo kościołów i świątyń, w których czczono i słuchano świętych słów samego Boga. Chrześcijaństwo, zbudowało niezliczoną ilość szkół, szpitalów i domów sierot. Ileby to dzieci, nędzarzy i kalek bez owych zakładów zmarniało w ciemnocie, nędzy i grzesznych nałogach!...

Miliony ludzi zostało we wierze w Chrystusa Pana oczyszczonych z grzechów i sta ło się dobrymi ludźmi. I teraz, lubo nie-

wiara i zgorszenie coraz więcej się szerzą, jeszcze niezliczona, ilość serc pała ku Niemu miłością i znajduje w Nim w utrapieniu przy śmierci pociechę. Jeszcze ustawicznie głoszą misyonarze pogańskim narodom ewangelię, czyli "radosną nowinę" od Boga i dzikie narody nawracają się, cieszą się, iż poznali prawdy Boskie i łagodzą swe obyczaje.

Narodzenie Pańskie jest więc w historyi świata najgłówniejszym wydarzeniem i słusznie uczeni w dawnych czasach od tego wypadku rozpoczęli rachubę czasu. Każda też liczba roczna zwraca nam uwagę na to, że dzień Narodzenia Jezusa Chrystusa jest dniem odrodzenia się świata i zbawienia dla wszystkich ludzi, którzy na to ócz i serc nie zamykają... jest dniem narodzenia się prawdziwego szczęścia, oświecenia i uszlachetnienia rodu ludzkiego!... Składajmy więc dzisiejszego wieczora i jutrzejszego dnia Zbawicielowi naszemu przynależne hołdy i zaśpiewajmy hymn na cześć Jego pospołu z aniołami...

Tu przestał mówić leśniczy.

— Tak też zrobimy, moje dzieci—odez-

wała się żona leśniczego.—Obraz ów piękny, nadesłany nam przez Antosia jest najwspanialszym podarkiem na gwiazdkę, jakiegoby innego nie mógł nam zrobić na świecie nikt inny, ani nawet sam książę... Pobożność, z jaką wysłuchałyście uwag ojca waszego, jest najpiękniejszem nabożeństwem, z jakiem wigilią Bożego Narodzenia obchodzić możemy. Starajmy się o to zbawienie, które nam Bóg przez Nowonarodzonego zgotował, a wtedy nastąpi dzień narodzenia Zbawienia naszego.

ROZDZIAŁ VI.

Zmartwienie leśniczego.

Przez kilka lat po oddaleniu się Antoniego z domu żył sobie poczciwy leśniczy z rodziną w spokoju i zadowoleniu. Z dzieci, które już wyrosły: syn stał się silnym młodzieńcem, a córki kwitły w dziewiczej piękności. Wszystko troje było dobrze wychowane i nieposzlakowanych obyczajów.

Z czasem zaczął też ojciec przy nadchodzącej już starości chromać i radby swego urzędu ustąpił synowi.

Książę zwykle dorocznie zjeżdżał jesienią na tutejszy zamek, aby przez kilka dni oddać się myśliwstwu, które po trudach całorocznych było dla niego wielką rozrywką. Był to pan nader ludzki i przystępny każdemu, choćby i najmniejszemu; każdego wysłuchał i z każdym przyjaźnie się rozmówił.

Raz, gdy książę zjechał na zamek i kiedy właśnie w obwodzie starego łeśniczego polowanie szczególnie wypadło pomyślnie, zbliżył się książę do niego.

— No — rzekł, klepiąc go po ramieniu — jak ci się powodzi, mój kochany leśniczy?

— Mości książę — odrzekł leśniczy— minęły młode lata, a starość coraz więcej gniecie moje barki, którym znieść trudno codzienne obowiązki. Życzyłbym sobie złożyć je na młodsze.

— Zapewne — rzekł na to książę— chciałbyś obowiązki włożyć na barki syna Józefa, który oto tam stoi, nie prawda?... Zawołany z niego myśliwy, a co u mnie

bez porównania większej wagi, dzielny leśniczy. Zagajenia, jak w czasie polowania dobrze uważałem, są w najlepszym stanie. Możesz być pewnym, że nikt inny twoim następcą nie będzie. Miłoby mi jednak było, abyś czas niejaki zatrzymał tytuł leśniczego i miał nad nim dozór, bo to i najlepszy młodzieniec stanie się zarozumiałym, a stąd niedbałym, skoro mu się do kołnierza zarychło galonki przyszyje. Będzie to dla nas obu korzyścią jeśli pozostaniesz jeszcze czas niejaki w urzędzie leśniczego.

Leśniczy w serdecznych słowach wynurzył księciu swe podziękowanie za łaskawe przyrzeczenie.

— Zachodzi jeszcze jedna okoliczność— dodał leśniczy—mój syn mógłby się teraz dobrze ożenić. Jest to córka dawno zmarłego przyjaciela mego z młodości, poczciwego leśniczego, Gajewskiego. Dziewczę straciło niedawno także matkę i teraz nie ma gdzie się podziać. Jest wprawdzie biedna, ale bogobojna, pilna, i jest wzorem niewinności, dobroci i skromności.

— A owszem!—zawołał książę—to bar-

dzo chwalę, jeśli stateczny młodzieniec przy wyborze małżonki więcej zważa na niewinność, cnotę, aniżeli na pieniądze i majątek. Niniejszem daję mu pozwolenie na ożenek, a że urząd leśniczego otrzyma, dowiesz się z patentu, który natychmiast wystawić rozkażę.

Syn leśniczego stał opodal i z biciem serca oczekiwał wyniku rozmowy księcia z ojcem. Na skinienie ostatniego przybiegł co prędzej, aby księciu złożyć swe podziękowania.

Józef wprowadził do domu rodzicielskiego niezadługo nadobną i skromną młodą małżonkę, a z nią razem i błogosławieństwo Boże. Odtąd spokój i zgoda zapanowały pod dachem poczciwego leśniczego, który się jeszcze doczekał, że mógł piastować na kolanach swe wnuczęta. Leśniczowa odmłodniała i prawie nie chciała nic innego robić, jak tylko wnuczęta pielęgnować i nosić je na ręku. Córki domu uważały zaś bratową za rodzoną siostrę...

Wszyscy żyli bardzo szczęśliwie.

Niedługo wszakże wielka przykrość zamąciła szczęście w tym błogosławionym

domu. Poszło to z dawniej zaszłego zdarzenia, o którym leśniczy już zapomniał. Ów pan Filip bowiem, który to z leśniczym chodził dawniej na polowanie, pozwolił sobie bez wiedzy leśniczego przebiegać las wszerz i wzdłuż, i bez miłosierdzia strzelać wszelką zwierzynę, którą tylko napotkał. Leśniczy, zdybawszy go w lesie, rzekł:

— Pomnij pan, że wybijanie zwierzyny jest surowo zakazanem. Chcesz pan wyjść czasem na polowanie, to przyjdź do mnie, jak dawniej, a chętnie z tobą pójdę i nawet wskażę najlepsze stanowiska, gdzie będziesz mógł strzelać ile, dusza zapragnie. Jednakże nie mogę na to zezwolić, abyś na własną rękę bobrował po lesie mej pieczy poruczonym.

Lecz pan Filip polował sobie, nie zwracając uwagi na żaden zakaz.

Leśniczy, trafiwszy go znowu, odebrał mu strzelbę.

— Bóg widzi—rzekł—że czynię to niechętnie. Jednakże jest to mym obowiązkiem. Rozkaz jest wyraźny, a mnie nie wolno mu się sprzeciwić. Jeźli pana jeszcze raz spotkam na nieprawnem wybi-

janiu zwierzyny, będę zmuszony donieść wyższej władzy, a wtedy pan będziesz nieszczęśliwym.

Zacny leśniczy, prócz tego napomnienia, udał się do ojca pana Filipa z prośbą, aby synowi zakazał samowładnego polowania. Ojciec pana Filipa pozostawiał wprawdzie synowi wszelką wolę, jednakże tym razem bardzo się rozgniewał, bo bał się popaść u księcia w niełaskę. Zagroził więc synowi wydziedziczeniem, skoroby jeszcze raz poszedł na polowanie, nie opowiedziawszy się leśniczemu.

To jednak nic nie skutkowało, bo paniczyk już od dawna był przyzwyczajony nie zważać na rozkazy ojcowskie.

Niedługo potem usłyszał leśniczy wystrzał w lesie, a pobiegłszy na to miejsce, złowił paniczyka przy ubitym jeleniu.

Leśniczy doniósł więc władzy. Ojciec pana Filipa sam teraz do księcia pojechał i prosił o łaskę dla syna.

— Podług praw—rzecze książę—musiał by syn pański siedzieć w domu karnym. Tym razem jeszcze ułaskawię, lecz jeśli jeszcze raz będzie zdybany, to bez żadnych względów odeślę go do domu karne-

go... a wtedy, jak pan łatwo pojmiesz, nie będę z domu poprawy dobierał do mego boku żadnego radcy, ani dla mego państwa urzędnika.

W ten sposób rzecz załatwiono. Pan Filip jednakże zapałał przeciw leśniczemu straszną nienawiścią i chociaż od tego czasu lata minęły, rozmyśliwał nad zemstą.

Stało się, że książę, następca, jeszcze małoletni, był właśnie w podróżach za granicą. Zaprowadzono rząd opiekuńczy przez co w kraju zaszły rozmaite zmiany. Bogaty i mający wielkiego znaczenia krewnych, został pan Filip nadleśniczym!...

Z wielkim przepychem zjechał na zamek, na którym mu pewną część przeznaczono na mieszkanie. Był on teraz przełożonym leśniczego Zieleniewskiego, którego też uciskał niewymownie. Ustawicznie go ganił i leśniczy nigdy nie mógł mu dogodzić.

Młody książę objął wprawdzie niedawno ster rządu, lecz nadleśniczy Filip, człowiek przebiegły i wymowny, umiał sobie ze wszystkiem ująć głównego za-

rządzcę lasów, który u księcia miał wielkie znaczenie. Stąd stał się jeszcze dla zacnego leśniczego tem pyszniejszy i nieprzyjaźniejszy, aniżeli poprzednio.

— Nie zdolni jesteście już do służby— rzekł pewnego razu — muszę stawić wniosek o zdatniejszego na tak piękny obwód leśny.

— Z całego serca ustępuję z urzędu odrzekł leśniczy — i gdyby był pozwolił nasz książę, już dawno byłbym ustąpił. A więc teraz mój syn zostanie leśniczym?

— Toby też było!—zawołał z szyderczym uśmiechem Filip.—Musiałbym też o czemś takiem wiedzieć.

Leśniczy odwołał się teraz na ów książęcy patent, mocą którego ma syn jego być następcą na leśniczostwie.

— A ba?!—zawołał Filip—znam ów patent.

I tu począł w nader dowcipny sposób nieważność jego wyłuszczać.

— A więc—kończył—ów patent jest niczem więcej, jak przyrzeczeniem nadania jakiego urzędu w służbie leśnej, jeśli wasz syn dobrze się będzie sprawował. I ot wszystko. Ale ten chłopak nie wart

niczego... Już sobie potrafię wyszukać lepszego.

Stary, osiwiały leśniczy napróżno starał się ukryć łzę w oku.

— Nie bądź pan niesprawiedliwym dla mnie, panie nadleśniczy—rzekł.— Pan sądziłeś, że go niegdyś obraziłem, lecz właśnie z tego powodu powinieneś się pan z dwóch przyczyn wystrzegać czynić mi krzywdę!

— Co? — wrzasnął Filip z zaiskrzonemi od gniewu oczyma.—To wy sami ośmielacie się przyponinać mi wasze grubijaństwo? To wy sami przywodzicie mi na pamięć, żeście mnie pozbawili mej najmilszej zabawy, to jest polowania, i jeszczeście mnie przed księciem oczernili? Z was jest nieokrzesany, zarozumiały człowiek! Już oddawna nie mieliście szacunku przed wyższymi stanami, tylko wdawaliście się z hołotą. Waszego syna ożeniliście z dziewuchą bez grosza, z prawdziwą żebraczką. Wasz ładny mająteczek wyrzuciliście na owego żebrającego urwisa, Antka. Nie umieliście zarządzać własnym majątkiem, a cóż dopiero mielibyście umieć z korzyścią zawiado-

wać cudzym? Nie, nie, wyście do niczego nie zdatni. Zresztą wnet nie będziemy obaj mieli nic ze sobą do czynienia i niezadługo więcej razy mi się na oczy nie pokazujcie!"

Leśniczy, wyszedłszy, zaczął sobie w powrocie dumać.

— Hm! hm!—mruczał pod nosem— niech tam sobie nadleśniczy gada, co chce. Moje poręby są w najlepszym porządku, zatem mimo jego nieprzyjaźni niczego mi dokazać nie może. Czekajmy końca!

Wróciwszy do domu, nikomu nie powiedział, jaką rozmowę toczył z nadleśniczym, nie chcąc rodziny tak zaraz zatrważać.

Jednakże wkrótce potem, gdy właśnie leśniczy wrócił z lasu i zasiadł w swem krześle, wszedł do niego posłaniec i wręczył mu pismo od urzędu leśnego. W piśmie stało: Dotychczasowego leśniczego Zieleniewskiego z powodu podeszłego wieku i skutkiem jego niezdatności zwalnia się niniejszem z obowiązku. Tymczasowo, aż do obsadzenia posady, odda zarząd powierzony mu obwód leśny sąsiedniemu leśniczemu Borowskiemu.

I na tem koniec. O jakiemś wyznaczeniu dożywocia dla wysłużonego starca, albo o ustanowieniu jego syna, nie było wzmianki. Znajdował się tylko dodatek, że złożony z urzędu leśniczy nie ma się ważyć od chwili, w której pismo niniejsze będzie mu doręczonem, strzelać w lesie ani pokazywać się z flintą, pod karą jej odebrania.

Kiedy leśniczy pismo przeczytał, przeraził się nie mało, a ręka, w której owo pismo trzymał, drżała febrycznie. Lecz wnet się pohamował, a wtedy rodzinie w izbie rozmaicie zatrudnionej odczytał głośno owo pismo. Stara leśniczowa z córkami pobladła, a młody leśniczy zapłonął z gniewu na mściwą złośliwość i niegodziwość nadleśniczego. Młoda jego małżonka stała czas niejaki jak skamieniała, a potem głośnym wypuchła płaczem. Dzieci jej, widząc matkę płaczącą, również poczęły głośno płakać. Nastał więc ogólny lament. Tylko poważny leśniczy pozostał spokojnym.

— Nie zapominajcie—rzekł — że Bóg jest nad nami!... Ty, moja żono, utul swój płacz pierwsza i daj przez to przy-

kład ufności w Bogu dzieciom naszym i wnukom. Jeśli Bóg nie dopuści, źli ludzie nam krzywdy wyrządzić nie mogą. Ten krzyżyk pochodzi od Boga, zatem wyjdzie nam kiedyś na dobre. A więc odwagi! Bóg jest naszym obrońcą, On nas nie wypuścił ze swej opieki, choćby nas świat cały odepchnął. On, dobry a bogaty Ojciec, nie dopuści, abyśmy, jego dzieci, pozostali bez chleba. Jemu zaufajmy, nie troszczmy się i pozostańmy dobrej myśli.

— Tymczasem—ciągnął dalej–niczego nie zaniedbam, co mi roztropność czynić każe. Jutro rano puszczę się w drogę do księcia; jest on tak samo szlachetny, jak i jego ojciec. Bez wątpienia da mi posłuchanie, lubo świeżo przejętymi na się rządami jest mocno zajęty. Jego poczucie sprawiedliwości nie może tego dopuścić, aby w służbie książęcego domu osiwiały człowiek, po czterdziestu latach wiernej i gorliwej pracy, tak bez wszystkiego mógł być z żoną, dziećmi i wnukami wypędzony i wystawiony na śmierć głodową... Józefie, pójdziesz ze mną; przecież teraz możemy się obaj oddalić bez

potrzeby proszenia nadleśniczego o urlop. Podróż odbędziemy pieszo, gdyż jazda konno lub powozdem byłaby na obecne stosunki nasze za droga, a zresztą też i zbyteczna. Rzeczy do ubioru, które nam będą potrzebne, zmieszczą się w nasze myśliwskie torby. Urządźcie się tak, aby jutro rano było wszystko w pogotowiu.

Nazajutrz jeszcze daleko przed świtem wstał już stary leśniczy i zbudził syna.

— Nie mogę się dnia doczekać! — rzekł—zresztą księżyc pięknie świeci, a my znamy każdą ścieżkę. Nie czekajmy więc, tylko idźmy!

Staruszka, jego żona, wydobyła mundur zielony strzelecki, suto złotymi galonami obszyty, złożyła go stosownie i obwinęła w czyste płótno, aby się nie pobrudził; Kasia przyniosła zawiniątko z bielizną i uszykowała prowiant na drogę. Żona Józefa z Marynią sporządziły śniadanie i wniosły do izby. Dzieci jeszcze spały.

— Kiedy myślisz wrócić do domu?— zapytała leśniczowa.

— Tego ja dokładnie powiedzieć nie umiem odrzekł leśniczy—ale wątpię, aby to się stało przed tygodniem.

— Od jutra za dwa tygodnie mamy wigilię Bożego Narodzenia—rzekła leśniczowa — przecież do tego czasu wrócisz!

— Da Bóg — zawołał leśniczy—wrócę od jutra za tydzień. W każdym jednak razie, niech tam wypadnie jak chce, wigilię będę święcił z wami wspólnie.

— Oby Bóg dał, żeby z weselem!— westchnęła leśniczowa.

— Módlcie się w mej nieobecności— dodał jeszcze leśniczy—i proście Boga, aby naszemi sprawami tak pokierować zechciał, jak to jego opatrzność święta uważa dla nas za korzystne.

Niewiasty wyprowadziły obu mężów aż na próg. Była to zimna, przejmująca noc grudniowa i jeszcze nie można było dostrzedz najmniejszego znaku zorzy na niebie. Pomimo tego leśniczy ze synem puścili się rączo w podróż.

Pozostali w domu byli w wielkiej obawie o swych miłych podróżnych, mianowicie o starego ojca. Pierwszego tygodnia pocieszano się jako tako, lecz kiedy

po tygodniu dzień za dniem upływał, a na dworze zahuczały wichry i sprowadziły pluski, wtedy wszystkich ogarnął niepokój.

— Ach!—mawiano — Józef jest młody i silny, a jednak wiele będzie musiał wycierpieć, lecz cóż dopiero stary ojciec? Jak on zniesie tak przykrą podróż?

Dzieci Józefa co chwilę biegały do drzwi i do okna wyglądając, azali nie ujrzą wracających ojca i dziadka. Lecz napróżno.

Po pierwszym tygodniu upłynął im jeszcze drugi w nieopisanych troskach i kłopocie. Troski ich były tem większe, że wkrótce po odejściu leśniczego przyniósł chłopak od nadleśniczego jakieś pismo urzędowe. Leśniczowa nie ośmieliła się go otworzyć, sądziła jednakże, że w niem nic dobrego nie stoi. Mogła to już zmiarkować z szyderczych słów wyrostka.

— To doprawdy śmiesznie—mówił tenże—że starzec z owym młodym zapaleńcem pobiegł do księcia. Przecież pan nadleśniczy jest swego pewnym. Niema wątpliwości, że nic nie wskórają, tylko wyszydzeni wrócą ze wstydem.

Wszyscy w domu tymczasem błagali Boga codziennie, aby raczył skłonić serce księcia ku wysłuchaniu próśb podróżnych, i ich samych szczęśliwie przywiódł z powrotem... Nawet dzieci modliły się, lubo do tego nie wzywane.

ROZDZIAŁ VII.

Jak się leśniczemu dalej powiodło.

Wśród tak smutnych okoliczności nadszedł wieczór wigilii Bożego Narodzenia. Noc zapadła rychlej niż zwykle, gdyż całe niebo powlekło się czarnemi chmurami. Wiatr podobny do orkanu, huczał pomiędzy konarami dębów i naginał wysmukłe jodły. Deszcz ze śniegiem zmięszany chlustał gwałtownie, a woda z dachu szumiała, jak potok wypadający ze skały.

— O mój Boże!—zajęczała leśniczowa po długiem wyglądaniu oknem—jeszcze nie wracają! Jeśli dziś na gwiazdkę nie przyjdą, to z pewnością spotkało ich jakie nieszczęście. Ach, jak mi się serce ściska! Toż to takie powietrze, że i psa źle

wygnać, a drogi, to istna kałuża. Ach, gdyby oni tylko przyszli, to zresztą niech się dzieje wola Boska!

Doszła znowu do okna, a otworzywszy je, spojrzała.

— Chwała Bogu!—wykrzyknęła—idą! idą!

Rzucono się do drzwi siennych.

— Jak wam się powiodło w mieście? — zapytali wszyscy razem.

— Spodziewam się—odrzekł stary leśniczy—że jeszcze wszystko pójdzie dobrze... Ale wyście pewnie o nas nie mało się kłopotali? Zachorowałem w drodze i nie mogłem podróży dalej odbywać, a skoro mi się polepszyło, to znowu po tylu deszczach rzeki i strumyki tak wezbrały, żeśmy się jeszcze kilka dni zatrzymać musieli. Lecz, chwała Bogu, jesteśmy już w domu!

Wszedłszy do izby, przebrał się natychmiast i zasiadł w swem krześle przy kominie. Leśniczowa przyniosła flaszkę wina i dwa kieliszki, oraz lampę olejną.

— Pokrzepcie się obaj cokolwiek—rzekła—zapewne wam tego potrzeba; wieczerza będzie wnet gotowa.

— To wybornie!—odezwał się leśniczy i obejrzał się przy jasnem świetle lampy po izbie.—Miła to jednak rzecz być w domu, w gronie swych ukochanych, gdzie człowiek tylko widzi przyjacielskie i wesołe oblicza.

Tymczasem Józef, wziąwszy swą żonę na bok, powiedział jej w zaufaniu:

— O, rzeczy wcale dobrze nie stoją; zapewne stracimy urząd!

Ta przelękła się bardzo i natychmiast wszystkim tajemnie ową smutną powiedziała nowinę. Leśniczy zauważył teraz, że nagle wszystkie oblicza posmutniały. Domyślił się zaraz przerażeniem, co zaszło.

— Więc już Józef się wygadał?—zawołał. — Niech i tak będzie, niema czego dłużej zatajać! Wszystko powiem, ale żebyście mi się nie smucili. Wszakże to dzisiejszej nocy narodził nam się Zbawiciel; więc dla tej radości powinniśmy zapomnieć o małych przykrościach ziemskich, a przynajmniej nie brać ich sobie do serca.

— Gdyśmy przyszli na dwór księcia— zaczął opowiadać leśniczy—zaraz udałem się do byłego zawiadowcy nad lasami,

pana Zalewskiego. Jest to uczony człowiek. Dawniej był on moim nadleśniczym i zawsze był dla mnie przyjacielskim. Inni panowie, którzy mnie znali, ci już albo pomarli, albo też są na łaskawym chlebie. Chociaż i on już dla podeszłego wieku ustąpił z obowiązków, to jednakże pomyślałem sobie, może mi zdrowej udzielić rady. Rzeczywiście ów szlachetny mąż przyjął mnie nader uprzejmie.

— Pan masz—rzekł do mnie Zalewski —zawziętego nieprzyjaciela w nadleśniczym, który odwrotnie ma przy dworze wielu, znaczenie mających, przyjaciół. Nasyła on całe stosy jaknajniegodziwszych sprawozdań przeciw panu i synowi, bo zamierza wmanić na leśniczego jakiegoś młodzieńca, który był jego służącym. Obawiam się, że on swego dokaże, a dobrego Józefa pozbawi ojcowskiego chleba.

— Ach! rzekłem ja—tak daleko przyjść nie może. Tymczasem mam zamiar udać się osobiście do księcia.

— Nie zawadzi—odrzekł pan Zalewski —ja nawet z panem pójdę. Szkoda jednakże, że pan przychodzisz bardzo nie

w porę. Książę zasypany interesami, i pytanie, czy panu da posłuchanie. Zresztą trzeba panu udać się do teraźniejszego zawiadowcy lasów i innych urzędników. Mnie się jednak zdaje, że pan tam nie doznasz dobrego przyjęcia, bo pan ı ilip umiał wszystkich otumanić.

— W samej rzeczy tak było, jak pan Zalewski przewidywał. Chodząc od jednego do drugiego, nie jedną musiałem połknąć gorzką pigułkę. Naczelny zawiadowca przyjął mnie bardzo zimno i odprawił mnie z kwitkiem, a inni urzędnicy nie lepiej sobie ze mną postąpili. Wszędzie pokazywano mi tylko kwaśne miny i musiałem niejednych cierpkich nasłuchać się przymówek. Kiedym się udał do księcia, był tam właśnie naczelny zawiadowca lasów, więc mnie po prostu wcale nie wpuszczono. Nadleśniczy więc mnie i Józefa należycie oczernił, lecz o co chodzi, tłómaczyć wam nie będę, bobyście zresztą i tak nie zrozumieli, gdyż tu chodzi o interesy urzędowe. Wszystko, na czem jeszcze nadzieję pokładać możemy, jest śledztwo. Ale znowu z drugiej strony mam obawę, że poruczą śledztwo takim

ludziom, od których się niczego dobrego spodziewać nie będziemy mogli.

— Przestańmy wreszcie o tem mówić, bo to nas tylko zasmuca, a właśnie dzisiejszego wieczora wszyscy chrześcijanie radować się powinni. Przecież to dziś wigilia Bożego Narodzenia, oddajmy się więc rozmyślaniu o przyjściu na świat Zbawiciela, a to rozpędzi nasz smutek.

Po tych słowach zwrócił oczy na obraz przysłany od Antosia, przedstawiający Narodzenie Jezusa Chrystusa. Obraz ten zawieszono na tem miejscu, gdzie dawniej wisiało lustro, i ażeby go ochronić od uszkodzenia, okryto go delikatną białą gazą.

Wnuki starego leśniczego, Mieciuś i Wicia, cieszyli się już od kilku tygodni gwiazdką. Teraz więc, kiedy leśniczy skończył, otarły coprędzej oczy z łez, twarzyczki rozjaśniły i podskoczyły radośnie.

— Babusiu!—zawołał mały Mieciuś—zdejm z obrazu zasłonę i zapal świecę, jak to było zeszłego roku, żebyśmy mogli się znowu do woli na niego napatrzeć.

— A ty, dziaduniu—zaszczebiotała mała Wicia—weź do ręki lutnię, zaśpiewamy

o Bożem Narodzeniu pieśń, której nas matka nauczyła.

— Owszem—odrzekł leśniczy—zaśpiewamy pieśń, zaśpiewamy. Wprzódy jednakże niech się dowiem, czy w czasie mej nieobecności nie zaszło co ważnego.

— Tak zresztą nic—odrzekła mu żona—tylko krótko potem, jakeś się oddalił, nadszedł znowu z urzędu leśnego list... Ciekawam, co tam w nim stoi.

Przy tych słowach podała mu nieodpieczętowane pismo. Leśniczy złamał pieczęć, otworzył, rzucił okiem... i zbladł, a wzniósłszy oczy ku niebu, zawołał...

— A więc, o Boże, niech się dzieje twoja wola święta!...

Obecni z przerażeniem spojrzeli na niego.

— Na Boga, cóż to?—zapytała struchlała żona.

— Ach!—odrzekł leśniczy smutnie—mamy się z tego domu wyprowadzić, nawet co więcej, już powinniśmy go byli opuścić. Nadleśniczy rozkazuje tem pismem, że powinniśmy się zaraz z mieszkania wyprowadzić, aby najpóźniej do wieczora wigilii Bożego Narodzenia mo-

gło być odświeżone i wybielone, ponieważ dziś wieczorem ma się wprowadzić nowy nadleśniczy. Nadleśniczy grozi zarazem, że w razie oporu każe nas bez wszystkiego wyrzucić. Dziwi mnie nawet, że nas dotąd nie wyrzucono, ale to pewna, żeśmy w niebezpieczeństwie, bo lada chwila może nas napaść zgraja dworska i na ciemną noc wyrzucić z mieszkania!...

— Ach, Boże!—zawołała synowa — gdzieżbyśmy się podzieli w tak ciemną noc? Nie słyszycie, jak wicher huczy? jak deszcz chlaszcze? Gdzież znajdziemy schronienie przed wichrem i deszczem?...

Drżąc cała, upadła na siedzenie i ujęła swe dzieci w ramiona.

— O, dobry Boże! — zawołała z płaczem—zlituj się nad temi niewiniątkami!

Józef złożył ręce i prawie skamieniały stanął obok żony, patrząc ze łzami w oczach to na nią, to na dzieci.

— Ach ty, dobrotliwy Boże! — zajęczała żona leśniczego—jakie to straszliwe dopuszczenie, że nas na stare lata z dziećmi i wnukami wypędzają z mieszkania, gdziem się urodziła i gdzie żyli moi ojco-

wie i dziadowie!... To okropnie. Dobry Boże! daj się wysłuchać i pozwól mi umrzeć pod tym dachem, pod którym się urodziłam!....

Kasia przycupła w kąciku i płakała, Marynia zaś stała obok drżąca, niby baranek na rzeź przeznaczony. Stary leśniczy zaś, wyglądający jak patryarcha, mający głowę tylko przy skroniach srebrnym włosem pokrytą, zatrzymał wypogodzone oblicze. W milczeniu długi czas miał oczy wzniesione ku niebu, a potem rzekł spokojnie, poważnie:

— Tak, moje dzieci kochane, stało się, musimy to mieszkanie opuścić!... Będziemy się musieli rozstać, bo nie znam nikogo, któryby nas wszystkich społem chciał przyjąć do siebie. Miałem nadzieję, że w waszem gronie przeżyję spokojnie mój wiek starości... Cieszyłem się słodką nadzieją, że tu w tem mieszkaniu wszyscy otoczycie moje łoże, kiedy wybije dla mnie godzina śmierci!... Lecz, ach!.. Bogu inaczej się podobało... Niech będzie imię Jego błogosławione!...

Tu spojrzał na wnuczęta.

— Serce nam jednakże ináczej mówi

o dobroci Boskiej, gdy na te płaczące niewiniątka oczy nasze zwrócimy. Bóg przecież pełen jest ojcowskiej miłości, zatem, jeśli na nas zesłał tak ciężkie utrapienie, to zapewnie ma w tem swe najmędrsze i najlepsze dla nas zamiary. Bezwątpienia zamieni On naszą boleść w nasze dobro, bo zwykle, gdy przychodzi do ostateczności, Bóg przemiania na lepsze. Wszakże to się mówi nawet pospolicie, że Bóg radzi o swej czeladzi, i zwykle kiedy człowiek od ludzi opuszczony, On z ratunkiem przychodzi... Przeżyliśmy w tej izbie tyle radosnych wieczorów gwiazdkowych, przyjmijmy i jeden smutny, bo taka jest wola Najwyższego!

— Masz słuszność, najukochańszy mężu — rzekła żona — spuśćmy się na Boga, on nas pocieszy w utrapieniu. Często nad tem rozmyślałam, jak smutno musiało być Najświętszej Maryi Pannie na sercu, nie tylko, gdy musiała zanocować w stajence, ale nawet i z tego nędznego mieszkania w ciemności nocy—tak jak my dzisiaj—uciekać z Boskiem dzieciątkiem musiała do obcego kraju. O! wtedy zapewne, mimo wielkiej wiary i ufno-

ści w Opatrzność Boską, zalewała się łzami, już nie tyle ze względu na siebie, co na Dzieciątko! Wiem dobrze, co serce macierzyńskie w takim przypadku czuć może! Jestem przekonana, że smutek rozdzierał jej serce!... Każdy człowiek na świecie musi się w podobnym przypadku znajdować, bo Bóg doświadczenia zsyła na wszystkie swe dzieci. Owe dawne zdarzenia na nas pod pewnym względem się odświeżają. Więc miejmy ufność, że Ten, który Najświętszej Pannie Maryi tak w mizernej stajence, jako i w ucieczce dał pocieszających przyjaciół i opiekuńczych aniołów, i nas bez pocieszenia nie pozostawi i właśnie w sam czas pospieszy nam z pomocą.

W tej chwili usłyszano pukanie do drzwi zewnętrznych.

— To oni! — zawołał stary leśniczy. — Przychodzą teraz, aby nas wyrzucić!

Na te słowa spojrzał Józef na swą flintę.

— O, na to nie zezwolę, — wykrzyknął

— aby na ciemną noc wyrzucono mych siwizną okrytych rodziców, moją kochaną żonę, moje dziedzi moje siostry. Pierwszego, którybyby wyciągnął zbrodniczą rękę, natychmiast uśm...

— Stój, mój synu!—przerwał mu stary ojciec — nie dokończ strasznej groźby, którą masz na języku. Nie myśl o żadnym, oporze, a tem mniej o nieprawnej przemocy. Pomnij, że Bóg rządzi nami i nimi. On jedynie jest naszą obroną i ucieczką. Jeżeli owych ludzi, którzy nas mają wypędzić, nie zmiękczą nasze prośby i przedstawienia, natenczas dobrowolnie opuścimy mieszkanie i na noc poszukamy schronienia w owej jaskini w lesie, gdzieśmy, zaskoczeni na polowaniu nawałnicą, nieraz szukali przytułku.

— Ach! — dodał, powstając ze swego krzesła, — niechże każdy z was ze mną starym i znękanym starcem w tych słowach poleci się i zda na wolę bożą.

Wszystko dobrze, co Bóg czyni,
Najświętsza wola Jego,
Niech sprawy me, jak chce, mieni,
Nie odstąpię od Niego.
On Bogiem mym,
Który we złym

Przypadku mnie ratuje,
Niech mną zawiaduje.

Wszystko dobrze, co Bóg czyni,
On mnie będzie pilnował;
On mój lekarz, nie będzie mi
Jadu w lekach gotował.
Pan to wierny,
Miłosierny.
Na nim cały przestaję
I Jemu się oddaję.

Wszystko dobrze, co Bóg czyni.
Przy tej wierze zostawam,
Od niej ja z żadnej przyczyny
Odwodzić się nie dawam:
Bo mnie wszędzie
Mój Bóg będzie
Jak ojciec opatrował,
Czemużbym się frasował?

Wszystko dobrze, co Bóg czyni,
On jest moją światłością,
On mi na drodze mej świeci,
I prowadzi mądrością
Jak w radości
Tak w żałości
Ja zawsze ufam Jemu
Jak Panu Bogu memu!...

ROZDZIAŁ VIII.

Gość niespodziewany.

Tymczasem pukanie się powtórzyło i to silniej, aniżeli poprzednio.

— Idź, Józefie, i otwórz drzwi—rzekł stary leśniczy.

Józef poszedł.

Po małej chwili wszedł do izby jakiś piękny, nieznajomy pan, okryty ciemnozielonym płaszczem i w czapce futrzanej na głowie.—To zapewne nowy leśniczy!— pomyśleli wszyscy z przestrachem, a serca ich zabiły gwałtownie.

I sam gość zdawał się być przestraszony na widok zapłakanych oczu i wybladłych twarzy mieszkańców domu leśnego. Zdjął teraz czapkę i kilka chwil stał nieruchomy.

— Cóż to — zawołał po chwili. — Czyż mnie już nie poznajecie?

— Wielki Boże! — zakrzyknęła Marynia — a toć to Antoś!

— Antoś? — zawołała Kasia—czyż to podobna?

— Co wam się marzy!—rzekła na to stara matka. — Przecież ten pan o wiele wyższy i roślejszy od Antosia.

— Jak Bóg żywy, to Antoś!—wykrzyknął Józef.—Bracie, skądżeś ty się tu wziął? Myślałem, żeś ty w Rzymie, o setki mil drogi oddalony!

Stary ojciec przecierał sobie oczy, jakby im nie dowierzał, i zaczął zwolna zbliżać się do przybysza. Nagle z rozsze-

rzonemi ramionami rzucił się na Antosia, przycisnął go serdecznie do serca i ledwie zdołał wykrztusić:

— O Antosiu, mój synu!...

Uścisk był długi, serdeczny.

Teraz Antoś powitał swą czcigodną matkę, Józefa, Kasię, Marynię, którym wszystkim serca się rozpływały z radości nad jego powrotem. Przywitał się także z małżonką i dziećmi Józefa, które po raz pierwszy widział, z taką serdecznością, jakby się byli znali od dawna.

Nagle izba, w której przed chwilą rozlegały się płacz i lamenty, zamieniła się w miejsce radości, bo niespodziany powrót Antosia uśmierzył tak smutek całej rodziny, jak wschodzące słońce rozprasza ciemności nocne.

— Ach, Antosiu — zaczęła teraz matka — znalazłeś nas w bardzo smutnych okolicznościach. Zapewne widziałeś jeszcze łzy nasze, gdyś wchodził do izby. Pozwól, że ci opowiem nasze nieszczęście.

— Wiem o wszystkiem, moi kochani rodzice — odrzekł Antoś — lecz bądźcie spokojni, bo sprawa stoi jak najpomyśl-

niej. Właśnie jadę od księcia, który was każe jak najuprzejmiej pozdrowić!

— Mnie? — zawołał zadziwiony starzec. — Skąd tobie do księcia? Nic a nic nie rozumiem i obawiam się, że to wszystko jest tylko snem zwodniczym.

— Bynajmniej! — odrzekł Antoś — to nie sen, tylko jak najpewniejsza rzeczywistość. Siadaj, ojcze kochany, na swe krzesło i ty, najukochańsza matko, siadaj także, niech wam wszystko opowiem.

Po tych słowach zdjął płaszcz, przysunął kilka krzesełek do stołu i siadł pomiędzy uradowanych swych opiekunów, a reszta, okoliwszy ich wieńcem, słuchała pilnie jego opowiadania.

— Nasz teraźniejszy miłościwy książę —zaczął Antoś — jeździł, jak wam wiadomo, po Włoszech. Pewnego razu była w Rzymie wystawa obrazów artystów, kiedy się książę tamże znajdował. Książę przybył także. Pomiędzy innymi, znajdował się tam obraz, który się księciu szczególniej podobał. Na zapytanie, ktoby go malował, odpowiedziano mu, że to jest malarz, pochodzący z jego księstwa, nazwiskiem Antoni. Książę kazał mnie

zawołać, pochwalił pracę i okazał się dla mnie nader łaskawym. Pytał mnie się, ile żądam za obraz i zapłacił mi z książęcą hojnością dwa razy tyle, ile żądałem. Kiedy potem oglądał najsłynniejsze w Rzymie obrazy, musiałem mu towarzyszyć, miałem szczęście jeździć przy jego boku w powozie, a nawet niejenokrotnie zaprosił mnie do swego stołu.

Właśnie miano sprzedawać w Rzymie kilka starych, cudnej piękności obrazów. Książę, wziąwszy mnie ze sobą, pojechał je obejrzeć. Przy każdym, który mu się szczególniej podobał, pytał się mnie o zdanie, a w końcu umyślił je zakupić. Wyznaczono wreszcie termin publicznej sprzedaży, lecz książę nie mógł tak długo czekać, musiał bowiem wracać. celem objęcia rządów po zmarłym ojcu. Polecił mi więc zakupno owych obrazów, oraz staranie, aby one nieuszkodzone doszły do niego, i w tym celu, umówiwszy się ze mną co do wysokości ostatecznej ceny— wyasygnował mi stosowną ilość pieniędzy.

Temu zaszczytnemu dla mnie zleceniu starałem się, według możności godnie

odpowiedzieć. Szczęście mi też posłużyło, gdyż kupiłem obrazy wiele taniej, aniżeli książę mógł się był spodziewać.

Ponieważ we Włoszech już wszystko widziałem, co dla malarza jest widzenia godnem, przeto, korzystając ze sposobności, przewiozłem obrazy okrętem, a potem wozem aż do książęcego miasta.

Przybywszy na miejsce, zaraz udałem się na zamek. Książę co tylko wstał od stołu i znajdował się w swoim gabinecie. Skoro mu dano znać o mnie, natychmiast kazał mnie zawołać przed siebie.

— Witam w rodzinnym kraju — rzekł do mnie łaskawie. — Cóż mi pan nowego przywozisz z Włoch?

— Obrazy — odrzekłem — które jaśnie oświecony książę kazałeś zakupić.

— Ileś pan zakupił? —pytał książę dalej.

— Wszystkie! — odrzekłem.

— Wszystkie?—wykrzyknął uradowany. —A to wyśmienicie!

Natychmiast więc wydał rozkaz, aby obrazy zdjęto z woza, przyczem naturalnie musiałem być czynnym. Ku mej ra-

dości wykazało się, że żaden z nich nie był uszkodzony.

Książę był w najlepszym humorze, gdyż on jest nie tylko miłośnikiem, ale i znawcą sztuki malarskiej. Wręczyłem mu kwity z wyłożonych pieniędzy.

— Pan wydałeś znacznie mniej — rzekł książę — aniżeli ci przekazałem.

— Niech jaśnie oświecony książę rozkaże — odrzekłem—komu nadwyżkę oddać.

— O tem niema mowy — rzekł znowu książę łaskawie — nie żądam żadnego zwrotu. Jestem panu bardzo wdzięczny i zaręczam, jeśliś ze mnie zadowolony, to ja z ciebie tem więcej... Lecz pan po podróży jesteś zmęczony, a teraz przy wykładaniu obrazów tem więcej się utrudziłeś, więc potrzebujesz wypoczynku.

Kazał mi więc przeznaczyć osobny pokój.

Wieczorem, siedząc samotny w mem mieszkaniu, wpadłem na myśl odwiedzenia starego Zalewskiego. Prócz księcia, był on jedynym moim znajomym w całem mieście. Przypominam sobie bardzo dobrze, gdy on, będąc jeszcze nadleś-

niczym odwiedzał ciebie, kochany ojcze, i żył z tobą w serdecznej przyjaźni.

Kiedym do niego przybył, wypytywał się mnie, skąd się tam dostałem. Więc mu opowiedziłem o wszystkiem.

— Pan przybywasz, jak zawołany — rzekł na to pan Zalewski.

I tu zaczął mi opowiadać, co się z tobą, kochany ojcze, dzieje, jak nadleśniczy dołki pod tobą kopie, i że kilka dni przed mojem przybyciem byłeś w mieście, ale cię z kwitkiem odprawiono.

Usłyszawszy to, chciałem się udać natychmiast do księcia.

— To tak nie idzie — rzekł mi na to Zalewski. — Dziś zapóźno. Jutro zaś rano poprosisz pan o osobną audencyę. Skutkiem znajomości pańskiej z księciem jest już droga dobrze utorowana i nie wątpię, że wygramy.

Nazajutrz stawiono mnie z Zalewskim dość rychło przed księciem. Nim przystąpiłem do rzeczy, zacząłem z zapałem opowiadać, jakem się do was dostał i coście dla mnie uczynili. Opowiadanie moje było tak szczegółowe, że pan Zalewski przerywał mi kilka razy wykrzykiem:

— Do rzeczy! do rzeczy!

Ale książę się uśmiechnął i rzekł:

— Pozwól mu pan opowiadać! Podoba mi się bardzo wdzięczność syna dla swych przybranych rodziców. Przecież w końcu się dowiemy, do czego on zamierza.

Teraz zacząłem opowiadać o panu Filipie. Powiedziałem zaraz bez ogródki, dla czego on was prześladuje, i że on jako złodziej leśnej zwierzyny byłby musiał siedzieć w domu karnym, gdyby zmarły książę nie był nadto względnym i łaskawym.

— Cóż to znowu? — przerwał mi surowo Zalewski. — Pan się zapominasz i mówisz z nieuszanowaniem. Książęta nie mogą być prawie nadto łaskawymi. Nadleśniczy wtenczas był niedoświadczonym młodzieńcem, dlatego wzgląd na jego młodość był na swojem miejscu.

— Opowiadaj pan dalej — odezwał się książę.

Wtedy pokazałem mu listy, któreś do mnie kochany ojcze, pisywał do Włoch, a które ja w nocy wyszukałem z mego kuferka. Pomiędzy nimi niema ni jednego, w którymby nie znajdowały się ży-

czliwe słowa dla jego wysokości, księcia następcy, który wówczas przebywał ze mną za granicą.

Książę wziął listy, ale nie tylko czytał miejsca, które mu wskazałem, lecz je wszystkie przeczytał od deski do deski, poprosiwszy mnie łaskawie poprzednio o pozwolenie.

— Tak, tak—rzekł teraz książę — przypominam sobie, żeś mi waszmość już we Włoszech powiadał o tym zacnym człowieku. Kto takie listy pisuje i kto takiego syna wychował, ten zaiste złym człowiekiem być nie może.

— A właśnie dlatego — rzekłem na to — musisz jaśnie oświecony książę owego niegodziwego nadleśniczego ukarać przykładnie, a dać leśniczowstwo jego dobremu synowi.

I znowu mnie zgromił Zalewski:

— Czy to tak się godzi mówić do naszego najłaskawszego pana? Książęciu nie mówi się: musisz!

Książę się tylko na to uśmiechnął.

— Tak to szybko naturalnie nie idzie, jak mniemasz, młodzieńcze — rzekł. —

Trzeba najprzód sprawę zbadać i nadleśniczego wysłuchać.

Następnie skinął na pana Zalewskiego, odeszli do okna i coś tajemnie gadali. Po skończonej rozmowie Zalewski zajął się pisaniem, a książę rzekł do mnie: "Bądź waszność spokojnym, wszystkim wymierzy się sprawiedliwość."

W czasie, kiedy pan Zalewski pisał, rozmawiał książę, ze mną tylko o obrazach.

— Świętej pamięci mój ojciec — mówił książę — pozostawił mi bardzo piękną galerye obrazów. Jednakże te i owe nieco ucierpiały, przeto trzeba je odświeżyć. Pracę tę powierzam niniejszem panu, zgadzasz się na to?

— Do usług księcia — odrzekłem na to z głębokim ukłonem—lecz nie mogę prędzej rozpocząć, jak po świętach. Moich kochanych rodziców przybranych ujrzałem po raz pierwszy we wigilię Bożego Narodzenia, więc też tego wieczora muszę ich powitać, wracając z dalekiego kraju, a tem więcej, że ich będę mógł pocieszyć w utrapieniu.

— Bardzo słusznie — odpowiedział

książę — Zrzekam się więc przyjemności posiadania pana u siebie, gdyż wdzięczność dla rodziców ma zawsze pierwszeństwo.

Właśnie też pan Zalewski skończył pisanie i wręczył je księciu, który je zaraz podpisał.

— Pozdrów waszmość swego dobrego opiekuna — rzekł, zwracając się do mnie — i powiedz temu uczciwemu starcowi, że może być całkiem spokojny!

Wyszliśmy od księcia i poszliśmy ze Zalewskim do mego mieszkania.

— Jakżeś pan mógł też tak śmiało rozmawiać z księciem? — rzekł po drodze Zalewski. — Mrugałem i kiwałem na pana, lecz to nic nie pomogło. No, zresztą tę natarczywość uniewinnia poniekąd pańskie przywiązanie i miłość ku przybranym rodzicom. I sam zresztą powiedzieć muszę, że prosta droga jest najkrótsza.

Pytałem teraz Zalewskiego, o czem z księciem rozmawiał i co mu tenże pisać kazał. Z początku nie chciał zdradzić tajemnicy, lecz na silne me prośby powtórzył mi słowa księcia: "O mało co nie skuszono mnie do popełnienia niesłuszno-

ści. Tam oto, leży patent dla nowego leśniczego na miejsce starego, którego dotąd jeszcze dla niektórych wątpliwości nie podpisałem, lubo nato z pewnością liczono. Każę więc poprzednio jak najściślej zbadać sprawę. Co się tyczy zaś pisma, to był osobny, wyraźny rozkaz do nadleśniczego mniej więcej tej treści:

"Jego książęca Mość z oburzeniem dowiaduje się, jak niegodnie nadleśniczy obchodzi, się ze zacnym leśniczym. Zieleniewskim; nadleśniczy odbiera więc niniejszem ostrą naganę wraz ze surowym rozkazem, aby ani leśniczego ani jego syna nie niepokoił."

Rozkaz ten natychmiast wyprawiono sztafetą.

— Trzeba się spieszyć — mówił książę — bo chciałbym temu zacnemu starcowi co rychlej przywrócić spokój.

Zalewski kazał mi ciebie, ojcze, pozdrowić od siebie i zapewnić, że śledztwo, które książę zarządzi wypadnie nieomylnie pomyślnie, i że Józef dostanie zapewne leśniczostwo.

W czasie tego opowiadania tak stary leśniczy, jak i inni często musieli łzy z oczu

wycierać. Teraz starzec powstał, uściskał Antoniego, a potem, zdjąwszy zasłonę z obrazu, spojrzał okiem wdzięczności ku niebu i zawołał:

— Ach! teraz możemy zanucić hymn z aniołami: "Chwała Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!"

ROZDZIAŁ X.

Choinka.

Antoni, skończywszy opowiadanie, zaczął wypytywać o zdrowie kochanych rodziców. Nie bez przykrości zauważył że się oboje bardzo podstarzeli, a na widok ich siwizny, ich zmarszczek na czole, cisnęły mu się łzy z oczu. Jednakże tego po sobie nie pokazywał, aby ich nie zasmucać.

Za to nie mógł się dosyć napatrzeć Józefowi, Kasi i Maryni, którzy wszyscy byli właśnie w kwiecie wieku.

— Mój Boże — rzekł, zawoławszy uprzejmie dzieci Józefa do siebie — jakto czas ubiega! Przed dwudziestu laty Jó-

zio, Kasia i ja byliśmy też takiemi dziećmi. Marynia jeszcze mniejszą, a teraz te oto dzieci zajęły nasze miejsca!

Popatrzywszy potem na dzieci, zapytał:

— Jakże, dostaliście już gwiazdkę?

— Ach, nie! —odrzekł Mieciuś. —Nadleśniczy popsuł nam całą uciechę!... To prawdziwy Herod!

Matka, usłyszała te słowa, zganiła mu takie wyrażenie.

— Antosiu! — zawołała mała Wicia — ciebie zapewne przysłali do nas anieli... Ale przyniosłeś nam też gwiazdkę?

— Naturalnie — odrzekł Antoni z uśmiechem — nie zapominałem o was. Musicie jednak zaczekać, aż mój pojazd nadjedzie, w nim bowiem wszystko się znajduje.

Dzieci zadowolniły się obiecanką i więcej się nie napierały.

Podano wieczerzę, przy której atoli więcej gadano, niż pożywano. Po wieczerzy dzieci poszły na spoczynek, reszta pozostała w izbie.

— Tym miłym, kochanym dzieciskom sprawimy jutro osobliwszą uciechę — rzekł Antoni. — Ustroimy im choinkę.

W niektórych bowiem okolicach jest zwyczajem stroić na gwiazdkę żłobek, w innych zaś drzewko. Józio z miłości dla swych dzieci będzie jeszcze dziś musiał iść do lasu po stosowną choinkę, a co się tyczy ustrojenia, to ja mam ze sobą wszystko, co potrzeba. Pojazd mój musiałem zostawić w Jesionowie, ponieważ konie dla złej drogi dalej ruszyć nie mogły. Więc pieszo wiadomemi mi ścieżkami przybyłem do was, a pojazd nadejdzie jutro rano ze świtem i przywiezie mi moje wszystkie rzeczy.

Nazajutrz bardzo rano, kiedy jeszcze dzieci smacznie zasypiały, zajęli się wszyscy dorośli ustrojeniem choinki. Piękne drzewko świerkowe z gęstemi gałązkami ustawiono w kącie izby pomiędzy dwoma oknami.

Skoro tylko pojazd nadszedł i z niego paki i paczki pozdejmowano, Antoni otworzył wielką skrzynkę, pełną wszystkiego tego, co tylko serce dziecka rozradować może. Zaraz sam zaczął drzewko stroić; porozwieszał na niem rozmaitego rodzaju owoce, pierniki, zgrabne koszyczki pełne smażonych migdałów, pię-

kne wianuszki z robionych kwiatów ustrojone w różowe lub niebieskie taśmy, a wreszcie mnóstwo błyszczących zabawek. Jako malarz umiał to wszystko nader malowniczo ugrupować. Następnie przymocował do gałązek mnóstwo woskowych świeczek, i to tak, aby drzewko dobrze oświecały, ale nie zapaliły.

Kiedy się z robotą uskromili, poszły Kasia z Marynią zbudzić dzieci.

— Niech mi dzieci prędzej nie przychodzą — rzekł Antoni — dopóki świeczek nie pozapalam. Jak będzie czas, to je matka zawoła.

Dzieci możeby na inny raz nie były chciały chętnie wstać tak rychło. Dowiedziawszy się jednakże, że dostaną podarki gwiazdkowe, wybiły się natychmiast ze snu, a nawet ubieranie trwało im za długo.

Niebawem dał się słyszeć głos matki:

— Dzieci, chodźcie!

Dzieci poskoczyły... ale olśnione niespodzianym blaskiem, stanęły jak wryte, i tak z podziwu jak i z radosnego zdumienia nie mogły w pierwszej chwili przemówić ani słowa. Tylko z otwartemi ustami

stały nieruchome, mając oczy wlepione w cudownie błyszczące drzewko. Owa połyskująca zieleń gałązek, świeczki, które pomiędzy niemi jak gwiazdki błyszczały, czerwone jabłuszka, złotawe gruszki, rozmaite lśniące zabawki — to wszystko zdawało im się być sztuką czarodziejską wywołane. W pierwszej chwili nie wiedziały, czy to sen, czy też rzeczywistość.

— Och! jak to pięknie! jak to ślicznie! — odezwały się wreszcie naraz.

— Takiego drzewka — odezwał się Mieciuś — które jest tak pięknem i zimą takie rozmaite ma owoce, nie znaleźlibyśmy w naszym lesie.

— Co ty mówisz? — pouczyła go Wicia. — Takie drzewa rosną tylko w raju albo nawet może w samem niebie. Nieprawda, mamo, wszakże to drzewko zesłał nam sam Pan Jezus?

— Tak jak ono tam teraz stoi — odrzekła matka — właściwie nie, lecz radość tę sprawił wam ten sam Pan Jezus, który niegdyś leżał w żłobku, a dziś znajduje się w niebie. Gdyby On się bowiem nie był narodził, nie wiedzielibyśmy nic ani

o świętach Bożego Narodzenia, ani o gwiazdce.

— My też za to Pana Jezusa bardzo kochać będziemy — odrzekły dzieci — i we wszystkiem go usłuchamy, bo On bardzo dobry i bardzo dzieci miłuje. Takiej radości, jaką On nam sprawił, nie doznał jeszcze żaden człowiek na świecie!

Na to odezwała się babka:

— Wierzę wam mocno, moje dzieci, że wy doznajecie, takiej radości, jakiej dorosły człowiek doznać już nie może. Niewinne dzieci są najszczęśliwszemi istotami na świecie, a radość ich jest czysta i szczera. Niech Bóg was, moje dzieci, ma w opiece, abyście zawsze pozostały niewinnemi i dobremi. — A zwróciwszy się do obecnych w izbie, dodała: — Ach! jak to często troski i kłopoty zatruwają chwile radości dorosłym!... Nie tylko to, ale sami sobie zatruwają życie to pychą, to łakomstwem, to innemi namiętnościami, a nieraz nawet cierpią pod ciężarem wyrzutów sumienia. Dla tego też prawdziwe są słowa Zbawiciela, który mówi: Zaprawdę, powiadam wam, jeśli się nie

nawrócicie i nie staniecie się jako dziatki, nie wnijdziecie do królestwa niebieskiego.

— Zwyczaj ustrojenia choinki na gwiazdkę — odezwał się teraz dziadek — bardzo mi się podoba. Mądrze sobie bardzo postąpili nasi przodkowie, że pomyśleli o tem, aby ważne uroczystości w chrześcijaństwie zamienić dzieciom w dnie radości. Ta dziecinna doczesna radość sprawia, że owe uroczystości stają im się miłemi i przysposabia ich serce do współudziału w wyższej radości, to jest w zbawieniu wiecznem. Odtąd w tym domu zawsze dzieci będą miewały choinkę, a lubo ona nie zawsze będzie tak obficie ustrojona, jednakże dzieci będą się z niej cieszyły. Jakże bowiem mało potrzeba, aby dzieciom sprawić uciechę; kilka jabłek, gruszek, pozłacanych orzechów, ot! to dosyć, jeśli na co więcej nie starczy. Zresztą nie trzeba skąpić, jeśli ma się dzieciom sprawić niewinną, a pożyteczną uciechę. Mnie się zdaje, że choinka będzie nam pomocna do utrzymania dzieci w karbach i nieraz będzie mniej potrzeba rózgi. Dzieci bowiem,

które raz widziały choinkę, będą się nią cały rok cieszyły, a wtedy bez wątpienia więcej od bicia pomoże, gdy im się powie: jak nie będziecie posłusznemi, nie dostaniecie choinki!

Tak rodzice, jak i opiekunowie, podziękowali teraz Antoniemu, że dzieciom i wnukom tak wiele zgotował radości.

— O! — zawołał Antoni — ta drobnostka nie warta wspomnienia. Lecz muszę was poprosić, abyście i wy przyjęli odemnie gwiazdkę.

Odwróciwszy się, poszedł w kąt izby i stojący tam kuferek otworzył.

— Jest to ten sam kuferek — rzekł — który niegdyś obficie napełniony daliście mi na drogę. Słusznie zatem będzie, jeśli wam go także zwrócę napełniony.

Po tych słowach wręczył starej leśniczowej kosztowne futro i ubiór z jedwabnej materyi.

— Jest to obowiązkiem dobrych dzieci — rzekł — starać się o to, aby swych starych rodziców zaopatrzyć w ciepłą odzież na zimną porę roku.

Żonie Józefa i obydwom pannom dał po sztuce zielonej tafty na suknie, chu-

steczki jedwabne medyolańskie i wiele innych strojów niewieścich. Józef otrzymał wyśmienitą dubeltówkę, której kolba orzechowa była misternie srebrem wykładana.

— Ty, kochany ojcze — rzekł, zwróciwszy się do leśniczego — nie powinieneś już chodzić na polowanie, lecz wypocząć po tylu trudach i znojach. Zatem potrzebujesz pokrzepienia na twoje stare lata. Tam ten oto kosz w kącie zawiera kilka flaszek wytrawnego reńskiego wina, a tu... proszę... oto puhar do niego.

To mówiąc podał starcowi srebrny puhar, który wewnątrz był suto wyzłocony, a zewnątrz okolony wieńcem srebrnych dębowych liści, z wyrytym na nich napisem:

Kochanemu memu ojcu Bronisławowi Zieleniewskiemu na pamiątkę wigilii Bożego Narodzenia r. 1813 poświęca we wigilię r. 1831 wdzięczny syn Antoni Wienicki."

Stary leśniczy rzucił się Antoniemu na szyję i zapłakał.

Nie nam te jednakże koniec, Antoni

wręczył mu bowiem pełen worek złota...

— Najukochańszy ojcze — rzekł — wydałeś na mnie znaczny kapitał. Nie byłoby to więc słusznością, gdyby reszta dzieci i wnuki miały z tego powodu ponosić uszczerbek.

Szlachetny starzec jednakże wzdrygał się przyjąć dar takiego rodzaju.

— To nie jest wcale podarunkiem odemnie — zawołał, widząc wahanie się starca, Antoni. — Najłaskawszy książę bardzo wspaniałe mnie obdarzył, a dar ten z dwóch stron mnie ucieszył, mianowicie, że w ten sposób mogę chociaż cząstkę zwrócić długu, którego całkiem spłacić nigdy nie będę w możności.

Zdziwienie przejęło wszystkich.

— Ach! Antosiu! — rzekła rozczulona stara leśniczowa. — Któż by się owej wigilii, kiedyś poraz pierwszy przestąpił progi naszego domu, mógł się był spodziewać, że nam kiedyś zgotujesz taką gwiazdkową uciechę... Któż się mógł wtedy spodziewać, że ty przez twe wstawienie się u Jego Książęcej Mości wydźwigniesz nas z największego nieszczęścia, a tem samem

wynagrodzisz wszystko, cośmy dla ciebie uczynili!....

— Tu w tem palec Boży — rzekł na to Antoni, — gdyż Bóg mnie na to do was zaprowadził, aby zesłał i na was i na mnie swe błogosławieństwo. Niech będzie Imię Jego święte pochwalone!... Ale,— przerwał sobie nagle Antoni, — pozwolicie, że natychmiast odjadę.

— Co? gdzie? dokąd? poco? — posypały się pytania przerażonej rodziny.

— Nie daleko — odrzekł. Antoni—tylko do pana Barwińskiego. Myślę, że zostanę jeszcze na Mszy świętej, a potem niespodzianemi odwiedzinami sprawię memu mistrzowi niemałą pociechę. Jutro zaś wrócę i przywiozę go tu do nas. Wtedy całe Święta, nawet wszystkie dni aż do Nowego Roku, przeżyjemy wspólnie w radości i uciesze!

Antoni zabrał się do odjazdu, a rodzina odprowadziła go do woza.

Rzeczywiście nazajutrz pod wieczór wrócił Antoni i przywiózł ze sobą swego byłego mistrza. Od tej chwili ożywił się dom leśniczego i zapewne na całym świecie nie znalazłby nikt szczęśliwszych ludzi od

tych, którzy teraz mieszkali pod jego dachem.

Coby jeszcze zasługiwało na wzmiankę z dalszego życia Antoniego i rodziny leśniczego da się w krótkich powiedzieć słowach.

Antoni poprosił oboje leśniczostwo o rękę Maryni, na co oczywiście przystali z radością.

— Maryniu — mówiła jej matka —ani mi przez myśl nie przeszło, że ten, któremuś wówczas na gwiazdkę jabłko darowała, odprowadzi cię od ołtarza jako dozgonną towarzyszkę żywota!

Wesele nastąpiło niebawem, a było tak radosnem w domu leśniczego zdarzeniem, jakiego dotąd rodzina jego jeszcze nie obchodziła.

Antoni osiedlił się w poblizkiem mieście, kupił kamienicę, a jako bardzo zdolny malarz, miał wielki odbyt i żył w dostatkach z żoną w zgodzie i jedności.

Z wiosną przybył niespodzianie książę na zamek, gdzie mieszkał nadleśniczy, pan Filip i przywiózł ze sobą pana Zalewskiego, oraz jeszcze jednego doświadczonego znawcę w sprawach leśnych.

Nadleśniczy struchlał i z łaskawych rzekomo odwiedzin księcia wcale niczego dobrego się nie spodziewał.

— Pan przekroczyłeś me rozkazy — rzekł książę; — wprowadzony w błąd pańskiemi donoszeniami miałem wprawdzie zamiar leśniczego w jego urzędzie zawiesić, a synowi jego dać jakie podrzędne stanowisko, jednakże nigdy nie było moją wolą wypędzać całej rodziny z mieszkania, jak to pan uczynić chciałeś. Zresztą zobaczmy, jak wydziały leśne wyglądają.

Co się wykazało?....

Obwód oddany szczegółowo nadleśniczemu był w najopłakańszym stanie.

— To to więc tak! — rzekł chmurnie książę — na papierze to wszystko wyglądało bardzo pięknie, a było tak ślicznie pisane i liniowane, niby druk. Tymczasem w lesie wygląda to inaczej. Nawet widoczne, że na niektórych miejscach stało więcej drzewa, aniżeli wykazują rachunki. Przekonuję się, że ten człowiek dopuszczał się względem mnie haniebnego oszukaństwa!

Rzeczywiście wykazało się później, że

nadleśniczy sprzedał w ciągu niejakiegoś czasu do rozmaitych fabryk kilka tysięcy sążni drzewa, których w rachunku nie umieścił, gdyż żyjąc rozrzutnie, a nie mogąc ze swej wioski tyle wybić, nie tylko popadł głęboko w długi, ale i sprzeniewierzył się swemu księciu.

Książę złożył go natychmiast z urzędu i skazał na wynagrodzenie szkody. Biedny więc Filip mieszkał odtąd na swej nadto długami obciążonej włości, żyjąc w wielkim niedostatku.

Tymczasem wydział leśniczego Zieleniewskiego znalazł książę w jak najlepszym porządku. Zadowolony, osobiście odwiedził starca, oświadczył swe uznanie gorliwości i kazawszy przedstawić sobie całą rodzinę, rozmawiał z nią uprzejmie.

Nim siadł na konia, którego pachołek trzymał przed domem za uzdę, zwrócił się książę do Józefa i rzekł:

— Od tej chwili jesteś leśniczym! Sprawuj się zawsze tak dobrze, jak dotąd!

— Pan — rzekł z przyciskiem — jesteś podeszły w leciech, ale bynajmniej jeszcze nie zgrzybiały starzec, jak to pan Filip

donosił. Pan mimo wieku jesteś rzeźki i silny, zatem ze służby zwolnić cię nie mogę. Lecz — dodał z uśmiechem — pan będziesz mnie rozumiał,gdy ci powiem: bądź zdrów, panie nadleśniczy!

KONIEC.